

Wigry



KWARTALNIK

**Wigierskiego
Parku Narodowego**

Nr 4/2018

**Z życia Wigierskiego Parku
Narodowego**

**Doświadczenia
bartnicze w Wigierskim
Parku Narodowym**

Łoś – urodziwy brzydal

Podróże małe i bliskie

Tarło sielawy w WPN-ie

**Czarną Hańczą
od źródeł do ujścia**

Idę przed siebie

**Świat pajęczaków
– Cz. IV. Pająki
– fatalne zauroczenie**



Unia Europejska
Fundusz Spójności



Exemplarz bezpłatny

ISSN 1642-1035



WYDAWCA:

Wigierski Park Narodowy
Krzywe 82, 16-402 Suwałki
tel. +48 87 563 25 40
fax. +48 87 563 25 41
wigry_pn@wigry.org.pl
www.wigry.org.pl

ZESPÓŁ REDAKCYJNY

Joanna Adamczewska
Maciej Ambrosiewicz (red. naczelny)
Zbigniew Bielawski
Jarosław Borejszo
Joanna Górecka (red. techniczny)
Maciej Kamiński
Lech Krzysztofiak
Jacek Łoziński
Barbara Perkowska
Piotr Pieczyński

ADRES REDAKCJI

Krzywe 82, 16-402 Suwałki
wigry_pn@wigry.org.pl

SKŁAD I DRUK

DRUKARNIA MEDIA
AL. Kołłątaja 73, 42-500 Będzin
www.media-drukarnia.pl

ZDJĘCIE NA OKŁADCE

Łoś
Fot. Wojciech Misiukiewicz

Nakład 2000 egzemplarzy

**Redakcja nie zwraca materiałów
niezamówionych oraz zastrzega
sobie prawo ich skracania
i redagowania.**

Od 2017 roku kwartalnik „Wigry” ukazuje się dzięki dotacji przyznanej w ramach działania 2.4 Ochrona przyrody i edukacja ekologiczna oś priorytetowa II Ochrona środowiska, w tym adaptacja do zmian klimatu Programu Operacyjnego Infrastruktura i Środowisko 2014–2020. Projekt „Wigierski Park Narodowy – znam, rozumiem, wspieram” (akronim ZRYW 2017), nr wniosku POIS.02.04.00-00-0062/16 – wydatek współfinansowany ze środków Funduszu Spójności.

Niniejszy materiał został opublikowany dzięki dofinansowaniu Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej. Za jego treść odpowiada wyłącznie Wigierski Park Narodowy.



SPIS TREŚCI

Z ŻYCIA WIGIERSKIEGO PARKU NARODOWEGO

Jesienią

PRZYRODA I KRAJOBRAZ

Doświadczenia bartnicze w Wigierskim Parku Narodowym

Jacek Adamczewski

PRZYRODA I KRAJOBRAZ

Łoś – urodziwy brzydal

Wojciech Misiukiewicz

HISTORIA, TRADYCJA, KULTURA

Podróże małe i bliskie

Piotr Malczewski

FOTOREPORTAŻ

Tarło sielawy w WPN-ie

Maciej Kamiński

TURYSTYKA, WĘDKARSTWO, REKREACJA

Czarną Hańczą od źródeł do ujścia

Jakub Skrodzki, Daniel Danecki

PARK I JEGO MIESZKAŃCY

„Idę przed siebie”

- wywiad z Zofią Andruszkiewicz

Elżbieta Perkowska

ROZMAITOŚCI

Świat pajęczaków – Cz. IV. Pająki – fatalne zauroczenie

Anna Krzysztofiak

01
05
08
13
16
18
22
24

JESIENIĄ...

Dział Ochrony Przyrody

Od lipca nie odnotowano na terenie parku nowych przypadków afrykańskiego pomoru świń - ASF u dzików (od początku roku stwierdzono łącznie 26 przypadków). Zgodnie z Decyzją wykonawczą Komisji (UE) nr 2018/1689 z dnia 8 listopada 2018 r. cały obszar WPN-u położony jest w strefie objętej ograniczeniami (czerwonej). Odwołano wprowadzoną w lipcu strefę zagrożenia (niebieską) w gminach Giby i Krasnopol.

W dniu 29 października 2018 r. dyrektor WPN-u podpisał umowę z Narodowym Funduszem Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Warszawie o dofinansowanie w ramach Programu Operacyjnego Infrastruktura i Środowisko 2014-2020 projektu pn. „Teledetekcyjna ocena stanu zasobów przyrodniczych Wigierskiego Parku Narodowego”. W ramach projektu wykonywane będą różne zobrazowania lotnicze (m.in. w barwach naturalnych, w podczerwieni, termalne, skaning laserowy), na podstawie których przeprowadzonych będzie wiele analiz przyrodniczych. Planowany całkowity koszt realizacji projektu wynosi 2 842 456 zł, w tym płatność ze środków POIiŚ - 2 416 087 zł.



Podpisanie umowy o dofinansowanie projektu teledetekcyjnego w ramach POIiŚ.

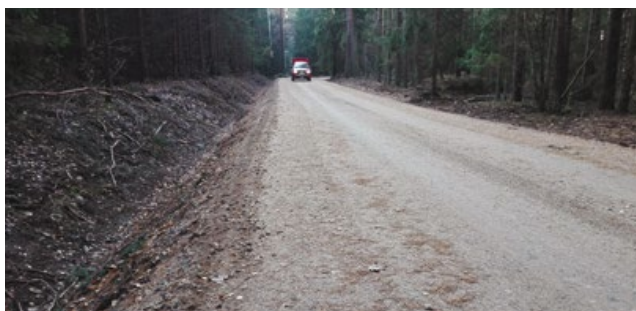
W listopadzie przeprowadzono działania mające na celu stworzenie odpowiednich warunków do bytowania nietoperzy w piwniczkach po dawnych zabudowaniach gospodarczych nad Wiatrołużą. Zadanie sfinansowano dzięki wsparciu funduszu leśnego Lasów Państwowych.

Jesienią wykonano coroczne czyszczenie skrzynek lęgowych dla ptaków. Dodatkowo wykonano i zamontowano 12 szt. nowych budek lęgowych dla dudków.

Jak co roku pracownicy parku przeprowadzili przeglądy barci oraz kłód bartnych. Prace polegały m.in. na oczyszczeniu, naprawie oraz ocieplaniu konstrukcji. Prowadzony jest również monitoring rozwoju rodzin pszczelich w barciach i kłodach bartnych. Zadanie sfinansowano ze środków funduszu leśnego Lasów Państwowych.

W 2018 roku wykonano modernizację dojazdów pożarowych w obwodach ochronnych Krzywe, Leszczewek, Krusznik, Lipowe i Wysoki Most. Łączna długość wyremontowanych dróg wyniosła 9,24 km. Zadanie zostało w całości sfinansowane ze środków funduszu leśnego.

W 2018 roku WPN wypłacił rolnikom 48 131 zł w ramach odszkodowań za szkody wyrządzone przez zwierzęta łowne w uprawach i płodach rolnych.



Wyremontowana droga usprawni dojazd do pożaru ciężkich samochodów gaśniczych.

Pracownia Naukowo-Edukacyjna WPN-u

15 września pracownicy PNE uczestniczyli, jako przewodnicy, w sesji terenowej kończącej Światowy Kongres Edukacyjny Ogrodów Botanicznych. Wśród gości znajdowali się pracownicy ogrodów botanicznych z 50 krajów.

W dniach 19-21 września troje pracowników PNE: dr Anna Krzysztofiak, dr Lech Krzysztofiak i mgr Maciej Romański brali udział w Sympozjum ZMŚP w Gorlicach, na którym wygłosili 2 referaty i zaprezentowali dwa postery.



Maciej Romański podczas swego wystąpienia na sympozjum w Gorlicach.

29 września odbyło się posiedzenie Rady Naukowej WPN-u, na której dyskutowano głównie projekt planu zadań ochronnych na rok 2019 a także przygotowania do obchodów 30-lecia Wigierskiego Parku Narodowego.

14 listopada w Olsztynie dr Anna Krzysztofiak i dr Lech Krzysztofiak przeprowadzili szkolenie pracowników Policji w zakresie ochrony gatunków i siedlisk, na przykładzie doświadczeń w Wigierskim Parku Narodowym.



Dział Edukacji

10 i 13 września w Wigierskim Parku Narodowym gościliśmy uczestników międzynarodowego projektu skupiającego edukatorów z całej Europy, którzy przez dwa ostatnie lata wymieniali między sobą dobre praktyki edukacji nieformalnej w ramach projektu EduCitizens. Projekt zrealizowany został przez Stowarzyszenie Pastwisko.org przy wsparciu finansowym Unii Europejskiej w ramach programu Erasmus+. Projekt, którego współpartnerem jest Kreatywny Ośrodek Nauki i Technologii „Midicentrum” w Suwałkach, poświęcony jest wspieraniu inicjatyw związanych z propagowaniem szeroko pojętej nauki.

15 września w Wigierskim Parku Narodowym – na ścieżkach edukacyjnych, w Muzeum Wigier i Ośrodku Edukacji Środowiskowej mieliśmy przyjemność gościć kilkudziesięciosobową grupę uczestników 10. Międzynarodowego Kongresu Edukacji w Ogrodach Botanicznych. Organizatorem tegorocznego kongresu był Ogród Botaniczny Uniwersytetu Warszawskiego, który świętuje 200-lecie swojego istnienia.

15 września w Ośrodku Edukacji Środowiskowej na Słupiu spotkali się miłośnicy „Rykowiska nad Wigrami”. W spotkaniu uczestniczyło blisko 70 osób. Po opowieściach Magdaleny Sarat i Łukasza Łukasika ilustrowanych pięknymi zdjęciami, nastąpiła część terenowa zakończona wspólnym ogniskiem.

W dniu 21 września po raz 25. na obszarze parku odbyła się akcja „Sprzątania Świata”. Tegoroczne sprzątanie odbyło się pod hasłem przewodnim „Akcja – segregacja! 2 x więcej, 2 x czyszej”. W imprezie wzięło udział ponad 600 osób, głównie dzieci ze szkół podstawowych oraz średnich. Jak co roku w sprzątaniu pomagali również osadzeni w Areszcie Śledczym w Suwałkach. Zebrano około 2 ton śmieci.

25 października w Muzeum Wigier zorganizowaliśmy etap powiatowy Wojewódzkiego Konkursu Wiedzy Ekologicznej pod hasłem „Różnorodność biologiczna i formy ochrony przyrody w Polsce”. Koordynatorem wiodącym jest Białowieski Park Narodowy, a współpracującą z nim administrację wszystkich obszarów chronionych na terenie naszego województwa. 7-osobowa reprezentacja uczniów wraz z opiekunami wzięła udział w etapie wojewódzkim, który miał miejsce 29 listopada w Białowieskim Parku Narodowym.

25 października Wigierski Park Narodowy tradycyjnie włączył się „Ekospotkań” pod hasłem „Zostawcie nam czysty kawałek świata”, które organizowane są już od kilkunastu lat przez Szkołę Podstawową Nr 6 im. Aleksandry Kujałowicz w Suwałkach.

Pracownicy WPN-u uczestniczyli w dniach 12-14 listopada 2018 r. w III Konferencji Naukowej - TURYSTKA WIEJSKA. NAUKA, EDUKACJA, PRAKTYKA - „Edukacja ekologiczna w rozwoju turystyki na obszarach przyrodniczo cennych” zorganizowanej przez Uniwersytet Przyrodniczy w Poznaniu i Wielkopolski Park Narodowy. Głównym założeniem konferencji była interdyscyplinarna wymiana po-

głędów na temat znaczenia edukacji w kształtowaniu oferty turystycznej obszarów przyrodniczo cennych. Ze strony WPN-u Joanna Adamczewska wygłosiła referat: „Edukacja społeczności lokalnych”.

Muzeum Wigier

12 października w Muzeum Wigier miało miejsce otwarcie wystawy fotograficznej „Grenlandia” – autorem fotografii jest Arkadiusz Makowski. Otwarcie poprzedziło spotkanie z autorem.

Z okazji zbliżającej się rocznicy 30-lecia Wigierskiego Parku Narodowego w 2019 r. pierwszym zwiastunem zapowiadającym imprezy i wydarzenia planowane na rok jubileuszowy jest konkurs plastyczny „Z Wigrami w tytule”. Regulamin konkursu jest dostępny na stronie internetowej Wigierskiego Parku Narodowego i Facebooku. Zachęcamy do udziału w konkursie młodzież szkół podstawowych i ponadpodstawowych. Organizatorzy przewidzieli bardzo atrakcyjne nagrody za najciekawsze prace z okazji roku jubileuszowego.



Projekt „Wigierski Park Narodowy – znam, rozumiem, wspieram” finansowany jest ze środków Unii Europejskiej (Program Operacyjny Infrastruktura i Środowisko) oraz Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej.

7 września w Ośrodku Edukacji Środowiskowej WPN-u odbyły się warsztaty dla mieszkańców z terenu WPN-u pod hasłem: „Czy woda w Wigrach jest czysta?”. Uczestnicy samodzielnie mogli pobrać próby bezkręgowców wodnych z brzegu jeziora i przy użyciu kart badawczych określić stan jeziora Wigry. W spotkaniu wzięło udział 25 osób. Uczestnicy otrzymali materiały edukacyjne w postaci przewodników do oznaczania owadów i notatników. Prowadzącymi byli specjaliści z zakresu hydrobiologii i entomologii wodnej – dr Grzegorz Tończyk i mgr Michał Rachalewski.



Co to za zwierzę?

Fot. Joanna Adamczewska

16 września na rzece Czarna Hańcza odbył się jednodniowy spływ kajakowy połączony ze sprzątaniem rzeki na odcinku Stary Folwark – Wysoki Most. Imprezę zakończono podziękowaniem, ciepłym posiłkiem przy wspólnym ognisku. W sprzątaniu udział wzięli mieszkańcy naszego powiatu oraz turyści, łącznie 20 osób. Wśród „skarbów” wylawianych z rzeki najwięcej było puszek aluminiowych, szklanych i plastikowych butelek. Co cieszy, śmieci było znacznie mniej niż w zeszłorocznej akcji sprzątania.



Fot. Jacek Adamczewski

Przyjemne z pożytecznym!

W ramach projektu ZRYW park wydał kalendarz na 2019 r. Pomysł na wnętrze kalendarza Wigierskiego Parku Narodowego na rok 2019 powstał we współpracy z Małą Szkołą Fotografii prowadzoną przez Radosława Krupińskiego działającą w Gminnym Ośrodku Kultury w Krzywem.

W listopadzie odbyły się w Muzeum Wigier w Starym Folwarku dwa spotkania edukacyjne skierowane do dorosłych mieszkańców parku i okolicy. Tematem tego cyklu spotkań jest różnorodność biologiczna. W bieżącym roku szczegółowo omawialiśmy ochronę zwierząt zarówno tych domowych, jak i dzikich. Uczestnicy spotkań otrzymują upominki symbolizujące ochronę różnorodności biologicznej – sadzonki rodzimych odmian drzew i budki lęgowe dla ptaków. Łącznie w obu wydarzeniach wzięło udział 50 osób. Na kolejne spotkania dotyczące różnorodności biologicznej zapraszamy za rok.



Fot. Małgorzata Januszewicz

Spotkania dotyczące różnorodności biologicznej cieszą się zainteresowaniem nie tylko wśród mieszkańców wsi w granicach parku, ale także mieszkańców Suwałk.

Zespół udostępniania parku

W III i IV kwartale roku trwały intensywne prace nad realizacją projektu „Modernizacja infrastruktury turystycznej Wigierskiego Parku Narodowego”. Dzięki dotacji z funduszu leśnego odbudowano m.in. platformy widokowe w Bryzglu i na Półwyspie Klasztornym, pomost, kładkę i budynki sanitarne na Jastrzębach, wydłużono pomost na półwyspie Łysocha. Powstały nowe parkingi: przy wieży widokowej w Kruszniku i Samlach I, toalety kompostujące, ławostoły, w tym jeden solarny przy informacji turystycznej w Krzywem. Ponadto zmodernizowano trasy narciarskie w Krzywem, a inne szlaki turystyczne wzbogaciły się w nowe tablice informacyjne.



Nowa wieża widokowa w Bryzglu.

Fot. Barbara Perkowska

17 października Wigierski Park Narodowy otrzymał 2 certyfikaty Miejsc Przyjaznych Rowerzystom na Wschodnim Szlaku Rowerowym Green Velo w kategoriach: informacja i atrakcja turystyczna.

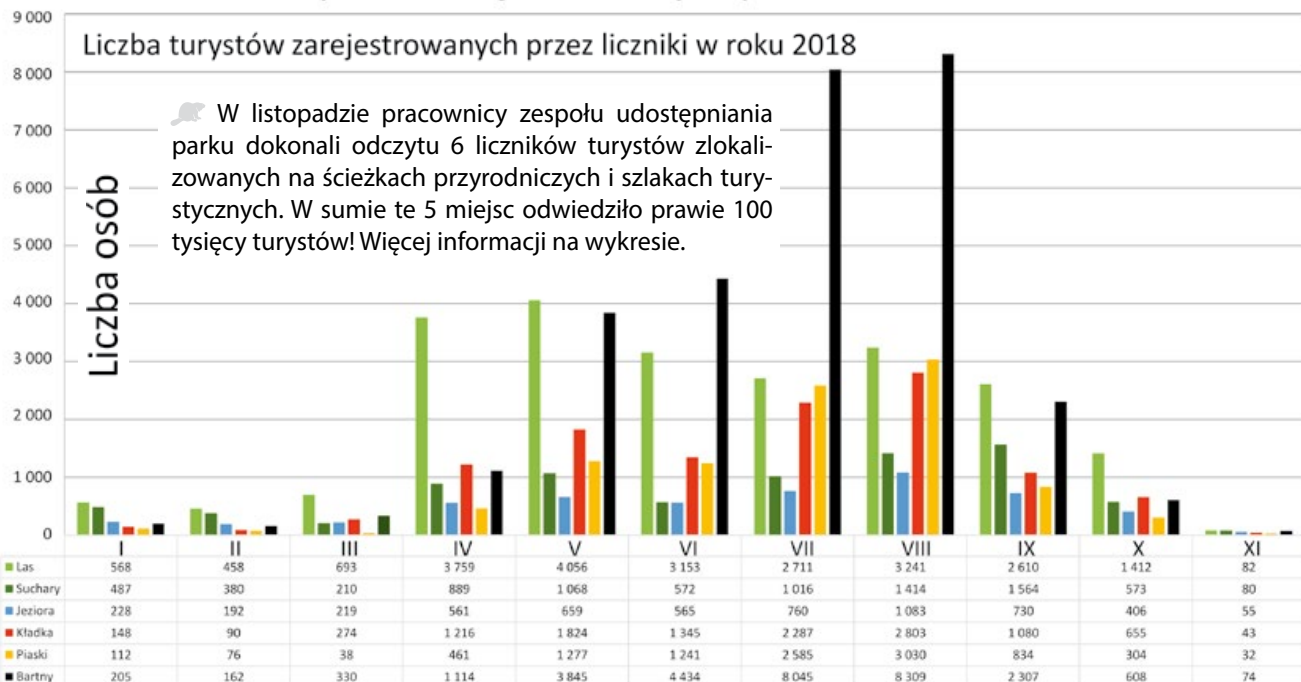


Park otrzymał certyfikat, który potwierdza, że jest przyjazny rowerzystom.

Fot. Zbigniew Perkowski

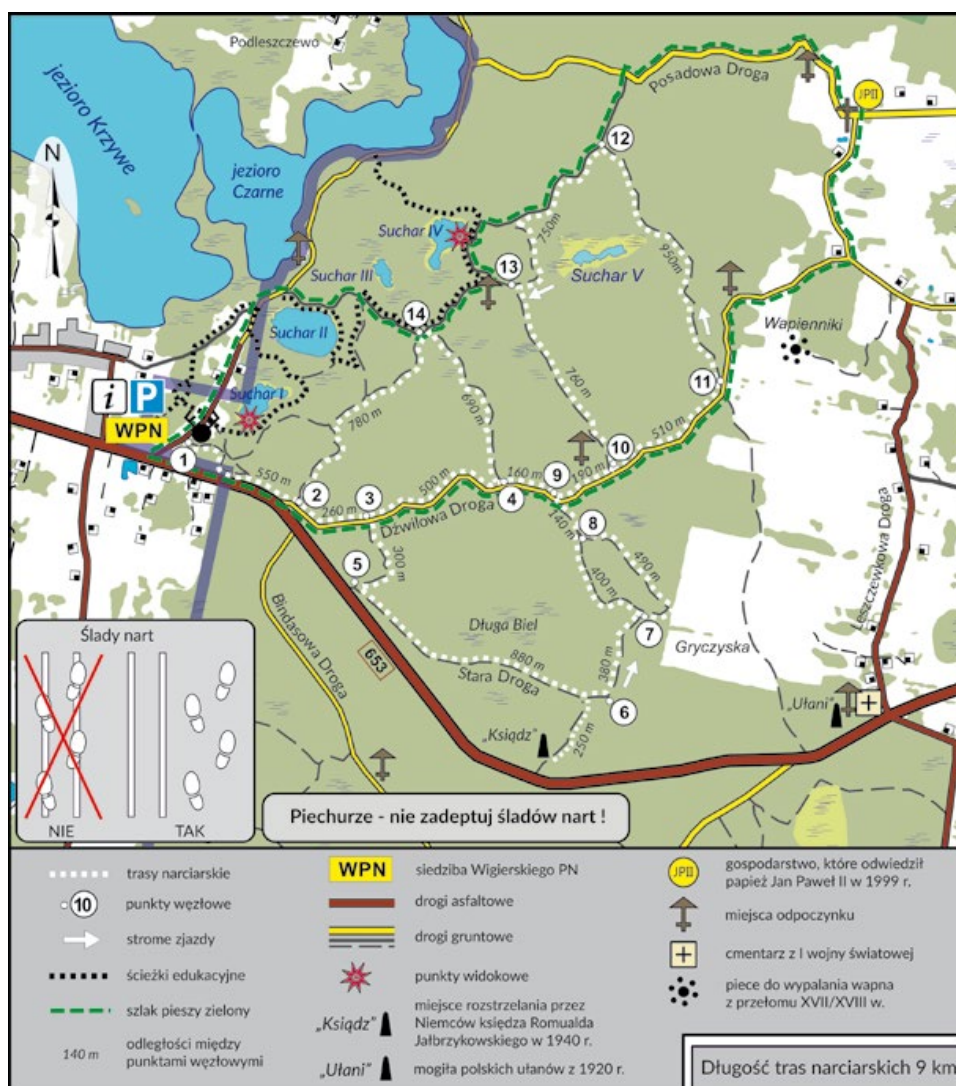


Liczba turystów zarejestrowanych przez liczniki w roku 2018



W długie zimowe wieczory zapraszamy do zapoznania się z nowościami z Wigierskiego Parku Narodowego, filmami z fotorułek i ciekawostkami przyrodniczymi na Facebooku: www.facebook.com/wigierski.parknarodowy/, na YouTube: kanał „Wigierski Park Narodowy” https://www.youtube.com/channel/UCh_KdtEAc7qwyEYvuuYPUA oraz filmami Krzysztofa Steczkowskiego - pracownika parku, dotyczącymi walorów przyrodniczych i działalności parku dostępnymi na kanale YouTube „WPN – przyroda, turystyka, wydarzenia”: <https://www.youtube.com/channel/UClaiEuEP2V50i523WhZpmQ/videos>

Nadchodzi zima. Wigierski Park Narodowy udostępni trasy przygotowane dla narciarzy biegowych. Jednak konieczne okazało się przeprowadzenie reorganizacji przebiegu tras narciarskich w Krzymem. Zostaną oddzielone od przebiegu ścieżki edukacyjnej „Suchary”. Nowy przebieg tras narciarskich został tak poprowadzony, żeby wykluczyć nakładanie się na ścieżkę edukacyjną. Nowa trasa liczy sobie ok. 9 km. Doszły nowe atrakcyjne odcinki, które prowadzą drogami leśnymi, jak i niewielkimi ścieżkami. Zmieniła się także numeracja punktów węzłowych i ich rozmieszczenie na trasie.



Informacje przygotowała: Joanna Adamczewska, Joanna Górecka, Adam Januszewicz, Wojciech Kamiński, Anna Krzysztofiak, Barbara Perkowska, Wiesława Malinowska, Piotr Pieczyński, Łukasz Skienziul, Dorota Zaborowska.

DOŚWIADCZENIA BARTNICZE W WIGIERSKIM PARKU NARODOWYM

JACEK ADAMCZEWSKI

Pierwsze udokumentowane informacje o „wchodach bartnych”, które miały miejsce w okolicach jeziora Wigry, pochodzą z XVI wieku. Śladów pierwotnych barci w polskiej części Puszczy Augustowskiej już nie odnajdziemy, przetrwały jedynie nieliczne kłody bartne przeniesione przez ludzi z lasu do zagród. Do dziś na terenie Parku pozostało uroczysko „Bartny Dół”, którego nazwa wskazuje na związek z dawną formą leśnego pszczelarstwa. Polegała ona na utrzymywaniu pszczół w barciach, tj. wydrążonych i odpowiednio przygotowanych dziuplach starych drzew. Bartnictwo na tych terenach przetrwało do lat 30. XIX wieku.

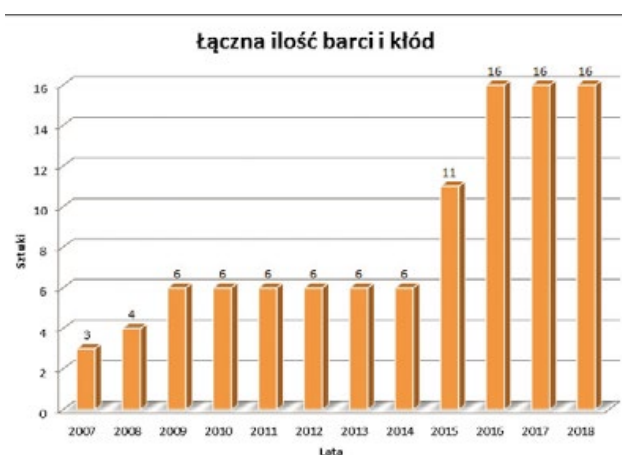


Fot. Jacek Adamczewski

Pierwsza zagospodarowana przez pszczoły barć na terenie parku po dwóch miesiącach od „wydziania”!

W połowie kwietnia przyszłego roku minie dwanaście lat, jak Wigierski Park Narodowy odwiedzili uralscy bartnicy. Po blisko dwustuletniej przerwie do nadwigierskich lasów powróciły barcie. W 2007 roku, tradycyjnymi metodami „wydziano” pierwszą barć w żywej sośnie i dwie kłody bartne, które następnie umieszczono wysoko na drzewach. Zobaczyć je można przy ścieżkach edukacyjnych „Las” w Krzywem i „Puszcza” w Wysokim Moście. Na efekt nie trzeba było długo czekać, już po miesiącu zostały one naturalnie zasiedlone przez pszczoły. Rok później zawieszono kłodę przy ścieżce edukacyjnej „Eksploatacja dóbr puszczańskich” w Bartnym Dole. Niebawem dołączyła tam podwieszona na leziwie kukła bartnika, na której widok zy-

wiołowo reagowali turyści. W sąsiedztwie barci i kłód ustawione zostały edukacyjne tablice informacyjne. W maju 2009 roku wydrążono kolejną barć i kłodę bartną przy ścieżce „Las”. Obecni przy tym byli pracownicy Państwowego Muzeum Etnograficznego w Warszawie, którzy udokumentowali fotograficznie i filmowo technikę „dziania” barci, niestosowaną już w Polsce od początku XX wieku. Narzędzia służące do wykonywania i obsługi barci oraz inne stare eksponaty pszczelarskie prezentowane są w ekspozycji etnograficznej „Ocalić od zapomnienia” w Krzywem. W latach 2015-2016 powstało kolejno po pięć barci. Aktualnie na terenie Parku mamy dwanaście sosen bartnych i cztery kłody bartne.



Łączna ilość barci i kłód bartnych.

Barcie wigierskie cieszą się dużym zainteresowaniem, pełnią przede wszystkim funkcję edukacyjną i stanowią osobliwą atrakcję turystyczną. Przypominają i pokazują turystom, jak wyglądało dawne, tradycyjne bartnictwo, którego podjęta restytucja jest czynną formą ochrony dziedzictwa kulturowego. Wiemy, jak pożyteczne są to owady i jak wielką rolę odgrywają w przyrodzie, więcej pszczół w lesie, to większa jego bioróżnorodność. Pozytywny wpływ tych owadów był zasadniczym celem, który skłonił nas do przystąpienia do projektu „Odrodzenie bartnictwa w Polsce”.

Mimo niewielkiej ilości barci i relatywnie krótkiego okresu naszej działalności, zdobyliśmy już pierwsze



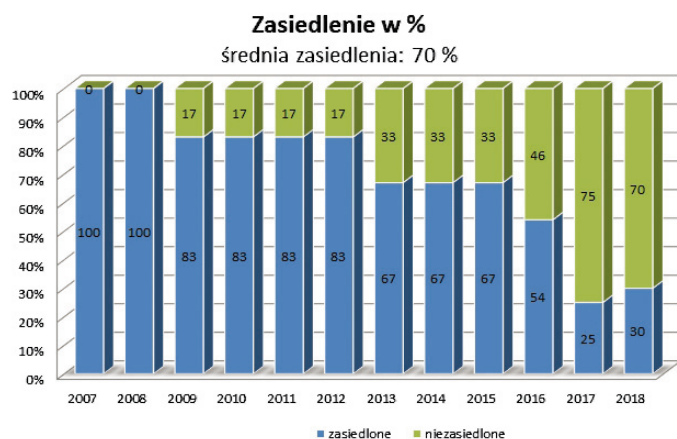


Fot. Joanna Adamczewska

Wigierscy bartnicy przy „dzianiu” drugiej barci w parku i kłody bartnej (na pierwszym planie), od lewej autor, po prawej leśniczy Zdzisław Zaborowski.

skromne doświadczenia bartnicze. Tak na marginesie, na obszarze Baszkirskiego Parku Szulgan - Tasz (o trzykrotnie większym areale lasu od naszego) znajduje się ponad siedemset barci i kłód, z czego corocznie zasiedlonych jest około dwustu.

Na terenie Wigierskiego Parku Narodowego, w ciągu jedenastu lat średnio corocznie 70 % wszystkich barci i kłód było naturalnie zasiedlonych przez pszczoły rojowe. Głównie były to uciekinierki z okolicznych pasiek. Jedynie raz została sztucznie zasiedlona jedna kłoda bartna. Tak duży stopień i szybkość zasiedlenia po „wydzianiu” świadczy zapewne o niewielkiej liczbie naturalnych, odpowiednio dziuplastych drzew. Bardzo rzadko odnajdywane są w lesie drzewa zamieszkałe przez pszczoły.



Naturalne zasiedlenie barci i kłód bartnych.

Inaczej wygląda stopień przeżywalności. Po pierwszych dwóch zimach żadnej rodzinie nie udało się pomyślnie przetrwać. W kolejnych latach było już lepiej, co ciekawe - po długiej zimie 2012 roku przeżyły niemal wszystkie rodziny pszczoły. Statystycznie średnia przeżywalności z jedenastolecia wynosi 19 %. Prawie wszystkie osypy spowodowane były brakiem zgromadzenia odpowiedniej ilości pokarmu zimowego. Tylko w dwóch przypadkach stwierdziliśmy zapas miodu, a za przyczynę osypu odpowiadała warroza. Żadnej rodzinie nie udało się przetrwać dwóch kolejnych zim w tej samej barci.



Przezimowanie (przeżywalność).

„Parkowe” pszczoły są zdane wyłącznie na siebie, zależne od warunków pożytkowych, pogodowych. Nie podbieramy im miodu, więc też nie podkarmiamy ich jesienią. W okresach wybitnie deszczowych, zimnych, bezpożytkowych także nie otrzymywały żadnej pomocy w postaci syropu czy ciasta cukrowego. Jak do tej pory, nie były stosowane również żadne zabiegi lecznicze, nawet przeciw groźnej chorobie pszczoł - warrozie.

Praca przy barciach polega głównie na kontroli i utrzymaniu ich w odpowiednim stanie. Bardzo ważne są wiosenne prace porządkowe po osypie rodziny pszczoły i przygotowanie przed nowym zasiedleniem.

Na pełną ocenę restytucji barci na terenie Wigierskiego Parku Narodowego jeszcze jest za wcześnie. Dobrze byłoby w przyszłości zwiększyć liczbę barci choćby do jednego „borku bartnego”, 16 barci jest liczbą mało reprezentatywną. Powinniśmy także poczynić działania w kierunku propagowania, popierania wśród lokalnych pszczelarzy utrzymywania rodzimej, lokalnej środkowoeuropejskiej pszczoły augustowskiej. Jest ona zbliżona cechami biologicznymi do niespotykanej już pszczoły leśnej (borówki) *A. m. m. silvarum*. Takie cechy jak: bardzo dobra zimowla, lepsza odporność na choroby i zatrucia spadziowe, wykorzystanie krótkich pożytków zwiększyłyby znacząco szansę powrotu pszczoł do ich pierwotnego domu – lasu.

Pracownia naukowa Parku dostrzegła także potrzebę prowadzenia badań związanych z wpływem pszczoły miodnej na ekosystem leśny - na wybrane rośliny runa i podszytu lasu. Interesujące są również kwestie konkurencyjności pszczoły miodnej w stosunku do innych zapylaczy. W zeszłym i bieżącym roku kalendarzowym Ogród Botaniczny Uniwersytetu Warszawskiego prowadził na terenie Parku pro-





Kącik bartniczo-pszczelarski.

jekt badawczy pt. „Wpływ introdukowanej pszczoły miodnej *Apis mellifera* na lokalne gatunki roślin i ich zapylaczy w zbiorowiskach borowych Wigierskiego Parku Narodowego”. Wyniki badań pozwolą na ustalenie strategii zarządzania gospodarką pasieczną na badanym terenie w sposób niezagrażający różnorodności biologicznej WPN-u, będą także możliwe do zastosowania w innych obszarach chronionych o podobnym charakterze przyrodniczym.

Zobaczymy, co przyniosą kolejne lata. Z roku na rok poprawiamy warunki bytowania pszczoł. W ramach zadań ochronnych na terenie Parku prowadzona jest systematyczna przebudowa drzewostanów, przybywa w lasach coraz więcej pyłko- i nektarodajnych drzew i krzewów liściastych.

Pokładamy nadzieję, że odrodzenie tradycyjnego bartnictwa na tych terenach przyczyni się także do promocji naszego Parku i regionu Suwalszczyzny. Być może w innych miejscach kraju bartnictwo rozwinie się i przyczyni do wykreowania unikalnego produktu lokalnego – miodu bartnego. Celem działalności parku narodowego jest ochrona przyrody, dlatego nasze działania koncentrują się



Wysychanie „wydzianych” i oznaczonych „klejmem”, tj. znakiem bartnym, najmłodszych barci przy starej składnicy drewna koło Wysokiego Mostu.



Tradycyjne narzędzia używane do „dziania” barci, od lewej: skobliczka, pieśnia, cieślica i siekiera.

na poszukiwaniu i wdrażaniu aktywnych metod ochronnych – jak np. utrzymanie dziko żyjących pszczoł.

Od autora

Chciałbym serdecznie podziękować wszystkim osobom, które przyczyniły się do realizacji projektu „Odrodzenie bartnictwa w Polsce”. Trwająca wciąż, niezwykła przygoda z bartnictwem pozwoliła mi wzbogacić się o nowe doświadczenia w pracy przy pszczołach. Staram się na miarę moich możliwości podzielić się wiedzą i doświadczeniami z osobami zainteresowanymi tematem. Poznałem i wciąż spotykam na mojej drodze wielu fantastycznych ludzi, przyjaciół. Cieszę się, że idea „wolnych”, „dzikich” pszczoł zatacza coraz większe kręgi.





Fot. Wojciech Misiukiewicz

Kłepy są oddanymi matkami.

Łoś to królewskie zwierzę. Sporo w tym stworzeniu jest sprzeczności. Wprawdzie potężny, ale przecież łagodny, a choć mocarny, to delikatny. Widok łosia kroczącego poprzez rozlewiska i objadającego się kaczeńcami należy do najpiękniejszych. Przez wieki nie oszczędzano go jednak w ocenach. „Dziwadło”, „groteskowy”, „niezdarny”, „mało rozbagnięty” to tylko niektóre przymioty przypisywane naszemu bohaterowi. Bo przytyków nie żałowano nie tylko europejskim łosiom, ale również ich kuzynom z Ameryki Północnej. W XIX wieku Henry David Thoreau wręcz dworował sobie z naszego bohatera: „Łoś wygląda wyjątkowo komicznie i niezdarnie. Dlaczego jest tak wysoki w kłębie? Dlaczego ma taki duży łeb?”. Czy owe obelgi rzeczywiście oddają wygląd, charakter i temperament łosia? Czy doprawdy Stwórca zbudował z nierównych części pokraczną i niezdarną istotę?

Łosia kojarzymy z wyjątkowym porożem. Ozdabiają się nim wyłącznie samce. W przeciwieństwie do saren czy jeleni noszą je krótko, bo dojrzały byk jedynie przez 3–4 miesiące. Poroże służy im jako oręż w potyczkach dla zdobycia rufnej kłepy, co zawsze łączy się z prawem pierwszeństwa dla silniejszego. Łosie, podobnie jak jelenie, danieli i sarny, pozbywają się poroży co roku. Zrzucają swe ozdoby zaraz po odbyciu godów.

Budowa łosia wskazuje na sposób jego żerowania. Wysoki wzrost i proporcje długości nóg i szyi sprawiają, iż rośliny są zgryzane na wysokości od 50 do 200 centymetrów. Przedziwnie, wręcz groteskowo, wygląda też, gdy sięga po pokarm bądź sól rozsypaną na drogach. Klęka wówczas jak do modlitwy, zginając przednie nogi w nadgarstkach i zajada się z wypiętym zadem. Ciekawostką jest, że łosie lubią się w grzybach. Zjadają kozłarze, borowiki, gołąbki, a nawet... muchomory.

Łosie są doskonałymi pływakami. A pływają tak sprawnie, że dwóch ludzi wiosłujących w łodzi z trudem utrzymuje ich prędkość. Wykazują też zadziwiającą wytrzymałość. Potrafią pokonać długie odcinki, nawet dwudziestokilometrowe, przy czym płynąc, sprawiają wrażenie, iż czynią to ze stosunkowo niewielkim wysiłkiem. Bywa nawet, że nurkują. Podobno bohaterowie nasi są w stanie zanurkować na głębokość nawet 5 metrów i głębiej. Wypływając na powierzchnię, zwierzę wynurza najpierw zad, a później dopiero głowę. Choć nie są w stanie wytrzymać pod wodą tak długo jak bobry, to może pod wodą wytrzymać pół minuty.

Choć wielu z nas łoś kojarzy się wyłącznie z otwartymi, pozbawionymi drzew i krzewów przestrzeniami otwartych bagien, to tak naprawdę zwierz ten jest też gatunkiem leśnym. Idealne dla niego warunki to las o strukturze dwupiętrowej z bogatym podszytem oraz podrostem z liczny-



Długonogi łoś, aby sięgnąć po pokarm znajdujący się na ziemi, musi bardzo często klękać.



Budowa łosia pozwala mu na zgrzyzanie pokarmu rosnącego na wysokości 2 m.

mi łąkami porośniętymi wierzbami i osikami. A gdy wokół stale utrzymuje się wysoki poziom wód gruntowych, teren jest zabagniony, z licznymi oczkami wodnymi, wówczas tworzy się sielankowy świat. Nie tylko apetyczny, ale też bezpieczny, bo z rzadka odwiedzany przez ludzi. Dlatego łosie najchętniej zamieszkują rozległe, podmokłe lasy, bory bagienne, olsy położone w zakolach rzek, brzeziniaki, zarośla wierzbowe, bagna porośnięte różnymi gatunkami wierzb i sosną. Ważna jest różnorodność środowisk, a więc i pokarmu.

Łosie mają osobliwe zachowania miłosne. Na początku września, czasem już w sierpniu, panowie przygotowują swoje leża. W piaszczystej glebie, bagnie, darni łąkowej kopią płytkie doły, z których wydobywa się specyficzny aromat. Zapach ten najwyraźniej dla łosi jest miły. Przez nas, ludzi, woń ta zdecydowanie odbierana jest jako odór,

byki bowiem do zagłębień tych oddają mocz. Jednakowoż zapach ten jest krótkotrwały i nie jest tak intensywny jak w przypadku jeleni. Czasem byki, również klępy, kładą się w owe cuchnące uryną zagłębienia. Tak naprawdę wciąż nie są znane powody, dla których łosie kopią owe doły. Niektórzy dowodzą, że przy nich dochodzi do miłosnych uniesień. Inni, że byki wygrzebuje je w miejscach, gdzie rujna samica oddała mocz. Kopanie dołów być może służy też wyładowaniu emocji.

Emocje w świecie łosi w czasie bukowiska bywają ogromne. Bo panowie, latem jeszcze opanowani, stają się rozdrażnieni, zachowują się głośno, irytuje ich każda obecność konkurenta. Wędrują po lasach i bagnach, z pluskiem przemierzają błota, łamią gałęzie, walcząc z niewidzialnymi przeciwnikami, wyrrywają porożem trawy i turzyce. Z rosochami wystrojonymi w trzciny i liście niestrudzenie poszukują swych pań. Wabią je głuchym, przeciągłym stękaniem przypominającym buczenie. Byki węszą przy tym, zadzierając w górę chrapy i szczerząc zęby, z nadzieją na wytropienie gotowych do miłosnych uniesień dam. A gdy wreszcie je wytropią, przez kolejne dni nie odstępują ich na krok. Podążają za nimi, obwąchują, kładą podbródek na ich zadzie, liżą, w końcu próbują ich dotknąć.

W maju lub na początku czerwca na świat przychodzą młode cielęta, jedno, dwa, rzadziej trzy. Klępy są oddanymi matkami. Jak wszystkie duże zwierzęta swój przychówek wychowują samotnie. Od pierwszego dnia łoszak upomina się o opiekę i uwagę. Małeństwo



Podczas bukowiska byki są bardzo pobudzone.





Fot. Wojciech Misiukiewicz

Na czas zimy łosie przenoszą się z bagien do lasów, gdzie znajdują żer pędowy.

dużo śpi, mało się rusza, domagając się co jakiś czas mleka od matki. Ta – aby nakarmić swą pociechę – musi często przykucać lub nawet kłaść się, aby malec mógł dosięgnąć wymienia. Przez pierwszych kilka dni łosza pozostaje z młodym w jednym miejscu, ale już po tygodniu maluch zaczyna poruszać się tak sprawnie, że trudno jest człowiekowi go dogonić. Biada jednak temu, kto podejmie taką próbę, łosza jest bowiem waleczną matką i znane są przypadki przepędzania przez nią ludzi, psów, koni, a nawet innych łosi. Rusza wówczas z podniesioną grzywą, płasko położonymi uszami, wyciągniętą szyją i nisko utrzymaną głową. Atakuje, bijąc przednimi nogami.

Gdy już cielę podrośnie, matka pozostawia mu stopniowo coraz więcej swobody. Maluch nie podąża już krok w krok za nogami matki. Zaczyna interesować się otocze-

niem, żerem roślinnym, skubie gałązki i źdźbła traw. Łoszaki bardzo szybko przybierają na wadze, po 6 miesiącach mogą ważyć nawet 130 kilogramów, a bywa że więcej. W drugim roku życia masa ciała łoszaka może ulec podwojeniu.

Więź pomiędzy kępą a łoszakiem jest większa aniżeli u innych zwierząt, na przykład u jeleni. Maluch bez przerwy domaga się opieki i interesowania się nim. Jest on tak od niej zależny, że w przypadku jej śmierci rzadko przeżywa zimę. Inne łosie nie biorą w opiekę osieroconego malucha. Osamotnione, może podążać za innym łosiem albo nawet zwierzęciem innego gatunku. Próby takie miewają tragiczne następstwa.

W dawnych prusko-litewskich prowincjach próbowano oswajać łosie. Odłowione kilkutygodniowe łosięta łączono z krowami, które jako mamki je odchowwały. Łoszaki trzymane w stadninach królewskich, nie odnoszono jednak w hodowli większych sukcesów, podrostki najwyczejniej zdychały. Ze względu na tłuste mleko, do dziś w hodowlach zamkniętych doi się kłepy. A jakość mleka jest wyjątkowa. W porównaniach zawartości protein w gramach na 100 gramów mleka łosiowy specjal wyprzedza bydło, osły i konie, bawoły, lamy, alpaki, piźmowoły, kozy, owce, jaki, wielbłądy. Kłepy można doić przez kilka miesięcy w roku, choć tak naprawdę dają niewiele mleka. Z 10 litrów wyrabia się prawie kilogram doskonałego masła. Kiedyś mleko podawano ludziom chorym na nowotwory, zwłaszcza po chemioterapii i przebytych chorobach żołądka. Na Wschodzie nadal funkcjonują dwie fermy łosiowe utrzymywane specjalnie w tym celu. Jedna z nich działa w okolicach miejscowości Ko-

stroma, druga w Pieczoro-Iłyczskim Rezerwacie Przyrody w Republice Komi. Również w szwedzkiej prowincji Västerbotten hoduje się łosie dla mleka. Produkuje się z niego i sprzedaje do 250 kilogramów serów rocznie w trzech gatunkach. Z 2,5 litra mleka wyrabia się kilogram sera. Zresztą chyba nie tylko na wschodzie i północy Europy pozyskiwano mleko łosi. Na rzymskim srebrnym naczyniu odnanionym nad Morzem Czarnym widnieje scena dojenia kłepy, obok której stoi byk łopatacz.

Trzykrotnie o mało nie wyniszczyliśmy łosi na ziemiach polskich. Za pierwszym i drugim razem w czasie pierwszej i drugiej wojny światowej, za trzecim – całkiem niedawno. Podczas pierwszej wojny światowej łosie wytrzebiono tak bardzo, że pozostało ich nieco ponad pół setki. Po wojnie łosie zaczęły się odradzać. Przed drugą wojną w ówczesnej



Polsce żyły 1372 łosie, z czego najwięcej, bo 313 osobników, na obszarze Dyrekcji Lasów Państwowych w Białymstoku. Pamiętać należy jednak, że inne były wówczas granice Polski, kraj nasz był dużo bardziej rozległy. W lasach prywatnych szeregu ordynacji, między innymi Dawidgródzkiej, Rzepiechowskiej, Tomaszogrodzkiej, Hrudopolskiej, Goszczewskiej, naliczono 949 łosi. Łoś był wówczas zwierzęciem łownym, ale polowano na niego z umiarem. Po zakończeniu drugiej wojny pozostało zaledwie kilka łosi na bagnach biebrzańskich. Wraz z pięcioma łosiami sprowadzonymi ze Związku Radzieckiego do Puszczy Kampinoskiej dały one początek obecnej populacji łosia w Polsce. Po wojnie zmieniono status gatunku i od 1952 roku objęto go ochroną.

Z biegiem lat łosie się odradzały. Rozwijała się powoli krajowa populacja zasilana zwierzętami przybywającymi do nas ze wschodu. Wędrowały ku nam łosie z Litwy i Białorusi. Znowuż nasze północno-wschodnie łosie rozpoczęły powolną wędrówkę na zachód kraju. W 1959 roku łoś został uznany za zwierzę łowne z całorocznym okresem ochronnym. Osiem lat później przywrócono polowanie na łosie, ale nie miało ono nachalnego charakteru wybijania zwierząt za wszelką cenę. Niemniej łosie strzelali głównie

dygnitarze państwowi i partyjni PRL-u. W archiwach Nadleśnictwa Rajgród pozostają dokumenty poświadczające, kto polował w czasach Polski Ludowej. I tak na przykład w pierwszym tygodniu listopada 1966 roku na obszarze Czerwonego Bagna byki ustrzelili: marszałek Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej Marian Spychalski, przewodniczący Centralnej Rady Związków Zawodowych Ignacy Loga-Sowiński i generał dywizji Wojska Polskiego, premier PRL-u Piotr Jaroszewicz. W kolejnych latach do polowań dopuszczano coraz niższy szczebel polityczny PRL-u. Polowano na jak największe sztuki, byleby zadowolić ówczesne elity rządzące, jak również zagranicznych myśliwych pozostawiających – tak potrzebne w państwowej kasie – dewizy. W czasach PRL-u wszelkimi sposobami starano się uzupełnić w kasie państwa brakujące marki, dolary i inną walutę. Polowania dewizowe miały też służyć otwieraniu się Polski Ludowej na Zachód.

Mimo polowań, liczebność łosi rosła, na początku lat 80. minionego wieku było już ponad 6000 zwierząt. Łosie zasiedlały praktycznie wszystkie odpowiednie dla nich tereny znajdujące się na wschód od Wisły. Wędrujące osobniki widywane były w całym kraju, przekraczały nawet zachodnią granicę Polski. Niestety te, które przekraczały



Fot. Wojciech Misiukiewicz

Podobnie jak w przypadku wszystkich polskich jeleniowatych, tylko samce budują poroże.





Rosnące poroże pokryte jest scypulem. Gdy tkanka kostna stwardnieje, byki pozbawiają się scypułu, wycierając go o drzewa.

granicę NRD, nie wracały już do ojczyzny. Tam bezlitośnie je wybijano. Tymczasem w Polsce łosie miały się znakomicie. I to był szczyt rozwoju populacji. Później było już tylko gorzej.

Gospodarowano rozrzutnie. I choć ówczesne polowania trudno porównać do łowów za czasów Sasów, to skala popełnionych błędów była rzeczywiście ogromna. Oliwy do ognia dołał w 1992 roku Minister Ochrony Środowiska, Zasobów Naturalnych i Leśnictwa, który w słynnym rozporządzeniu zarządził eksterminację gatunku. A wszystko to w imię dobra lasów! Na szczęście rozsądni leśnicy tego absurdu nie wykonali. Niewybaczalnym błędem ówczesnej dyrekcji Biebrzańskiego Parku Narodowego było podjęcie w 1994 roku dwuletniej redukcji łosi na obszarze parku. Łosie strzelano również w parkach narodowych: poleskim i kampinoskim. Czara gorczy przelała się pod koniec minionego wieku. Doszliśmy do stanu, gdy

krajową populację szacowano na zaledwie 1500 sztuk, niektórzy dowodzą, że poniżej tysiąca osobników. W 2001 roku Minister Środowiska wprowadził moratorium na odstrzał łosi. Łoś pozostał gatunkiem łownym, lecz objęto go całorocznym zakazem polowań.

Dzięki moratorium łosie powoli zaczęły się odradzać. Jeszcze do 2010 roku nie odtworzył się ich zasięg z lat osiemdziesiątych minionego wieku. Obecnie jednak wiemy już, że dzięki ochronie mamy największą ich liczebność w historii. Nie tylko odtworzył się dawny zasięg, ale łosie z polskim paszportem od lat zasiedlają tereny naszych zachodnich i południowych sąsiadów – Niemców i Słowaków. Pochód polskich łosi na nowe tereny trwa nadal.

Tak czy inaczej, łosie mają się wreszcie dobrze, ich liczebność w Polsce stale rośnie. Wygląda na to, że obecnie sami jesteśmy zaskoczeni tempem odbudowy populacji. Okazuje się, że łosie „nowej generacji” przystosowują się i doskonale radzą sobie w różnych środowiskach. Nie tylko tych naturalnych, ale również sąsiadujących z nami, ludźmi. Lokalnie łosie wręcz zatracają swoją dzikość, wchodząc w coraz bliższe kontakty z człowiekiem, co tak naprawdę obu stronom nie jest potrzebne. Nie da się ukryć, że proces powiększania się arealu tych zwierząt zachodzi w sposób spontaniczny. Jest to swoisty fenomen ekologiczny zachodzący w czasach współczesnych, tak naprawdę bez szczególnego wysiłku ze strony człowieka.

Kraj nasz jest w wyjątkowej, wręcz uprzywilejowanej sytuacji – mamy łosia! Pamiętać musimy, że w Europie Centralnej i Południowej dużych zwierząt praktycznie już nie ma. Tam łoś jest postrzegany jako atrakcyjne, wręcz egzotyczne zwierzę. Pielęgnujmy więc ten przywilej, wszak w Europie jesteśmy pierwszą wschodnią ostoją tego osobliwego zwierzęcia.



Tekst pochodzi z albumu „ŁOŚ urodziwy brzydal” autorstwa Wojciecha Misiukiewicza – pracownika WPN.

PODRÓŻE MAŁE I BLISKIE

PIOTR MALCZEWSKI



Fotografie: Piotr Malczewski

Gdzieś na Wschodzie...

Gdzieś na Wschodzie...

Wieś...

Jedyna w Polsce wieś o takiej nazwie. Dwa słowa...

Niegdyś zamieszkała tylko przez Rosjan – staroobrzędowców.

Kawał historii, religie, cierpienia, odchodzenia i znikania za dwoma słowami nazwy wsi... w północno – wschodniej Polsce.

Wieś miała w sumie 3 nazwy, choć gdyby wziąć pod uwagę zabory czy okupacje, to właściwie pięć nazw. A i jeden z mieszkańców chciał zmienić nazwę wsi na Nowa Wieś, lecz na szczęście się to nie udało, bo inaczej byłaby to kolejna Nowa Wieś, których w Polsce jest 125!

Wieś dawniej zwana Budzisko Moskale i Budzisko Porzecze powstała przed rokiem 1784, założona przez Rosjan staroobrzędowców przybyłych najprawdopodobniej z północnej Rosji (Karelii) lub z Ukrainy. Wieś liczyła wówczas 9 gospodarstw.

Nazwy na tym skrawku ziemi, szczególnie jezior, rzek, ostępów leśnych, wsi, niosą czasem ze sobą treść lub fragmenty języków, zapomnianego jaćwieskiego czy litewskiego, polskiego, rosyjskiego, białoruskiego, ukraińskiego, żydowskiego (jidysz) czy tatarskiego.

Budzisko, Budy, Buda oznaczało budę, szałas, lepiankę, prowizoryczną budowlę (choć nie zawsze). Budziska były to osady drwali, osoczników, smolarzy. Pierwsze osady drwali zwano budami. W 1679 r. komisarze królewscy zezwolili kamedułom założyć na starych budziskach (osadach drwali) i przeróbkach (przecinkach puszczy) nowe wsie: Magdaleńów (obecnie Magdalenowo) i Burdyniszki.

Może nazwa tej wsi pochodzi od bani, które często najpierw były budami, gdzie mieszkali, modlili się, oczyszczali

ciało i ducha budowniczo gospodarstwa. Staroobrzędowcy najpierw stawiali banię, zanim zbudowali dom.

U nas zostało trochę bani w okolicy. Bania z rosyjskiego to po polsku łaźnia. Ale po tutejszemu mówi się albo *bania*, albo *bajnia*. Ta ostatnia jest nazwą miejscową.W baniach mieszkają duchy – *banniki*, zwane też *domowoje*.Moja bania to czarna bania, *czarna bajnia*, *czionnaja bania*. Stoi na brzegu Czarnej Hańczy tuż za mostkiem drewnianym, zwanym u nas kładką. Za mostkiem rozciąga się szeroki, spokojny odcinek rzeki.Patrząc na drugą nazwę wsi - Budzisko Porzecze, myślę że oznaczało to pewnie „nad rzeką”. Na mapie zaś znalazłem drugą linię wsi o nazwie *Porzecze*.

Około 1880 r. wieś liczyła sobie 39 domów i 226 mieszkańców. W 1921 r. liczyła 242 staroobrzędowców i kilka rodzin ewangelickich. Na terenie wsi znajdują się dwa cmentarzyki obydwu wyznań. W 1941 r. starowierzy zostali przymuszeni do przesiedlenia się do ZSRR (głównie na teren obecnej Litwy). Ponoć w 1968 r. mieszkały tu 4 rodziny.

Ale płynąc myślami w zamierzłą przeszłość, należy stwierdzić, że pierwszymi „mieszkańcami” terenów obecnej wsi i okolic po ustąpieniu lodowca były porosty, krzewinki, renifery i myśliwi wędrujący za stadami renów. Na polach we wsi i okolicy dotąd można znaleźć fragmenty krzemieni pozostałe po obróbce narzędzi – skrobaków, noży czy całej pięściaki, siekierki, groty krzemienne. Pod gankiem mego domu znalazłem siekierkę krzemienią – gładzoną, która według archeologów mogła być podarunkiem lub elementem składanym do grobu.

Krzemienie tu mają barwy granatowe, niebieskawe, szare, kremowe, a czasem są całe czarnobiałe. Krzemienie



do północno – wschodniej Polski przywłócił lodowiec. Używano je do wyrobu narzędzi w paleolicie i neolicie. Tylko w Polsce występuje krzemień pasiasty i najstarsza kopalnia podziemna w Krzemionkach Opatowskich. Znalezione tu ponad 1000 szybów. Krzemienie stosowano w konstrukcji zapłonu w muszkietach i pistoletach skałkowych. Obecnie służą do wyrobu farb, kul stosowanych w młynach, w przemyśle ceramicznym i budowlanym, a także używa się ich w jubilerstwie.

Oprócz krzemieni można znaleźć tu dość liczne pozostałości po ciepłych morzach. Skamieniałe muszki, gąbki, koralowce, wieloszczety zwane przez ludzi *piorunkami* o bursztynowej barwie. Kawalek świata zamknięty w kamieniu. Lubię po deszczu i wiosną myskować po polach, zwirowniach, odnajdując za każdym razem fragmenty dawnego życia.

Mój dom, moja chata...

Zbudowano ją około 100 lat temu nieopodal rzeki Czarnej Hańczy. Najstarsza we wsi. Dom stoi na pierwszej linii wsi (bo jest i druga linia i tak się u nas mówi) przy zwirowej drodze. Po jednej stronie mam obecnie dwóch sąsiadów oddalonych o kilkadziesiąt metrów i kilometr dalej drugiego sąsiada.

Rzekę widzę z okien. Na dachu zrobiłem platformę, by czasem na niej posiedzieć z kubkiem kawy i popatrzeć na rzekę.

Naprzeciw domu stoi podcinany pod różnym kątem słupek dębowy – *serge*. *Serge* to koniowiąż u ludów stepowych: Buriatów, Mongołów, Tuwińczyków, ale nie tylko. To jednocześnie łącznik – oś, według szamanów łączący trzy światy górny, środkowy i dolny.

Dom zbudowano na sześciu dużych kamieniach z żywicnych sosnowych bali do 40 cm szerokości i 16-18 cm grubości, łączonych na „rybi (jaskółczy) ogon”, ma 7 na 11 kroków. Jest to chata chłopska z gankiem asymetrycznym. Ganek zwie się też werandą. Z pewnością zanim zbudowano ten dom, starowierzy skrzykiwali tzw. *tłokę*, czyli pomoc sąsiedzka. Drewno kupowano na pniu w lesie rosnące, samemu je ścinano i transportowano. Wybrane drzewo ścinano zimą przy solidnym mrozie i śniegu, który zalegał do marca – kwietnia. Wiele lasów na Suwalszczyźnie było podmokłych i tylko zimą można było zwieźć drzewo z takiego terenu. Wybierane drzewo nie mogło być zrośnięte,

zwracano uwagę, by nie było porażone piorunem, gdyż wierzono, że takie drzewo w chałupie może spowodować pożar. Unikano też drzew, o których krążyły opowieści, że ktoś na nich się powiesił lub przy nich umarł, lub został zabity. Takie drzewa – świadków oznaczano często krzyżkiem lub małą kapliczką. Do lasu jeździło się *w kilka sań*. Do zwożenia wykorzystywano małe, masywne pojedyncze lub podwójne sanie zwane *zajdkami* lub *sukami*.

Drzewo obciosywano toporem ciesielskim, zwanym też *sklutem*. Topory były większe od siekier i dzieliły się na prawo- i lewoskrętne, by obciosywać z lewej i prawej strony. Dwóch traczy pnie na belki piłowało na kozłach ułożonych na wysokości do 2,5 m, piłą długości ok. 2 m. Jeden stał na górze, drugi na ziemi i pionowo piłowali belki i deski. Tracze byli najczęściej ludźmi wędrownymi.

Dachy na Suwalszczyźnie wykonywano ze słomy, dranic (sosnowych desek na zakład), gontów sosnowych oraz wiórów. Słomą kryto: domy, chlewy itp.; dranicami: kuźnie, szopki, banie; gontem, ze względu na duże koszty, kryto: dwory, plebanie, kapliczki. Dach z wióra rozpowszechnił się i stał się charakterystyczny dla Puszczy Augustowskiej, Suwalszczyzny i Sejneńszczyzny.

Chętnie też dachy z wióra robią przyjezdni (z miasta), majstrowie – *wiórarze* jeżdżą też często w Polskę kryć wiórem. Choć bardzo rzadko się zdarza, by któryś z majstrów miał dom pokryty wiórem. Z około 10 majstrów w okolicy tylko jeden młody chłopak – sąsiad po drugiej stronie rzeki - ma dom pokryty wiórem.

Dom mój przykryty jest dachem dwuspadowym pokrytym wiórem osikowym, dziewięcioma warstwami. Niestety, dzisiaj dachy te nie są tak trwałe jak dawniej, obecnie wiór, czyli 2-4 mm grubości deszczułki z osiki – łupie się na poziomej „gilotynie”. Drzewo musi być mokre. Dawniej wióry robiono z osiki, olchy lub sosny i lepiej układano, były trwalsze. Było to też jedno z najtańszych pokryć dachowych, a obecnie stało się jednym z droższych.

Wprowadziłem się jesienią 1999 r., czyli w ubiegłym wieku. Dach ciekł „na krejdzę”, czyli kalenicy (połączenie dwóch połaci dachowych). Okna były nieuszczelnione, drzwi również, śnieg wlatywał szparami do domu i usypywał ładne maleńkie białe wydmy.

Woda w studni, sławojka za chlewem, któremu zresztą groziło zawalenie i trzeba było tylną ścianę i belki stro-



Czarna Hańcza.



Czarna bania.

Fot. Piotr Malczewski

Fot. Piotr Malczewski



Mój dom, moja chata...

powe podeprzeć drągami. Na strychu śmieci, ładny kufer mazerowany, łopata do chleba, forma do torfu, stępa do tłuczenia ziemniaków i 2 telewizory czarno - białe. Miałem je przez zimę i oglądałem przez okno, leżały na kupie śmieci, czekając na wywiezienie.

Za domem stoi chlew, do niej „przyklejona” tzw. glinobitka, mały budynek, dawny kurnik. Glinobitka to mieszanina gliny ze słomą, plewami, igliwiem, pakułami, z której wznoszono ściany budynków, najczęściej gospodarczych, rzadziej domów. Powszechnie budowano z gliny na Suwalszczyźnie po pierwszej wojnie światowej do końca lat 70. XX w. Ściany (u podstawy grube nawet do 60 cm) zdobiono wzorkami wyciskanymi w glinie za pomocą „grzebieni”. Gлина jest bardzo ciepła, odporna na pleśń i grzyby, utrzymuje dobrą wilgotność w pomieszczeniach. I materiał do budowy był tuż obok.

Sercem mego domu jest kuchnia i piec – *pieczka* z rosyjskiego, zwana też u nas *maszyną*.

Ma dwa przypiecki: górny i dolny i piec chlebowy na wysokości płyty z fajerkami. W polskich domach w okolicy piece chlebowe są nisko nad ziemią. Przypiecek zwany też jest leżanką albo murkiem. Zresztą służył i służy do grzania kości, suszenia ubrań czy „wygrzania” choroby. Belki i deski stropowe były tarte – czyli robione ręcznie piłą i toporem. Domek nieduży, sień: tu wejście do łazienki (dawnej komory) i na strych, gdzie jest pokój i moja pracownia. Z sieni - duża kuchnia i pokój. W kuchni dwie ławy i stół dębowy, gdy się po nim ręką przeciągnie, czuć fale desek. Kredens duży i mały, lodówka, piec, kominek, *zydelek*, czyli stołek z samorodnego korzenia i *szlabanek*, zwany u nas też *ślabankiem*, *szlabanem*, czyli ława - łóżko z wysuwaną szufladą.

Ponadto w kuchni, pokoju, pracowni znajdują się fragmenty Wschodu. Szeroko pojętego. Wiszą anioły różnej wielkości i z różnych materiałów, trzciniowe łąpcie z Ukrainy i brzożowe łąpcie z Syberii, zabawka i kości z Mongolii, syberyjska tasiemka z nasionkami na szczęście od Katii znad Bajkału. Miejscowe, czyli też wschodnie, obrazy na płycinie okiennicy - abstrakcja Jurka Cz. i pejzaż - impresja Andrzeja Strumiłły też znad naszej rzeki. Na kredensie, kominku leżą kamienie czarnoszarobiałe znad Bajkału i skamieniałości z Suwalszczyzny.

Na ścianie fotografie i 2 małe tanki z Mongolii z podpisem lamy na odwrocie. (Tanki - tybetańskie malowidła na płótnie spełniały dwie funkcje. Nauczyciele buddyjscy podróżowali ze zwiniętymi tankami, opowiadając historie przedstawione na obrazkach, przybliżając mieszkańcom nauki. Jednak tanki były przede wszystkim inspiracją dla medytujących).

Kiedyś w pokoju we wschodnim narożniku znajdowała się zawieszona szafeczka, w której stały ikona(y), krzyże, plakiety, księgi. Nigdy staroobrzędowcy nie wieszali krzyża na gwoździu, tylko na półce lub w szafeczce.

Ikonę zakrywano (i czyni się to dotąd, choć nie w każdym domu) chustą. Na ten narożnik z ikoną mówiono *krasnij ugoł* (zwany też *pieriednij ugoł*, *swiatoj ugoł*, *bożnica*, *kiot*, *kiwoł*).



Pracownia.

Nad Czarną Hańczę stoi mały budynek bajni – bani. W okolicy są dwa rodzaje bani. Białe banie (z kominem) i czarne banie (bez kominu). U mnie stoi czarna bania. Najpierw jest *priedbannik* (sień) zwana też *siency*, *sieni*, a potem *kamienka*, *kaminka* (komora bani). Tu znajduje się palenisko, nad nim ułożono kamienie polne, ławy, wiadra, miskę, stoi jedna lub dwie beczki, teraz w remoncie. Jest też małe przydymione okienko, przez które błyska ciut ciut światła. Obowiązkowo musi być też winnik albo *wienniki*...

Ale to już inna opowieść...





1



2

FOTOREPORTAŻ

Tarło sielawy w WPN-ie

FOTOGRAFIE: MACIEJ KAMIŃSKI

1-3. W drugiej połowie listopada rozpoczęło się tarło sielawy. Nasi rybacy zwożą odłowione ryby do bazy w Bryzglu.

4. Ryby są segregowane według płci.

5-6. Z samic sielawy pracownicy parku delikatnie wyciskają ikrę.

7-8. Następnie ikra jest zapładniana mleczem, pobranym od smukłych samców.

9-10. Zapłodnioną ikrę przewozimy do parkowej wylęgarni ryb w Tartaku.

11-12. W aparatach inkubacyjnych ze stałym przepływem dobrze natlenionej i zimnej wody rozwój zarodków trwać będzie do kwietnia następnego roku, a wylęgające się ryby zostaną wypuszczone do jezior.



5



10





CZARNĄ HAŃCZĄ OD ŹRÓDEŁ DO UJŚCIA

JAKUB SKRODZKI
DANIEL DANECKI

Do rozpoczęcia naszej wyprawy potrzebowaliśmy miejsca startu, lecz jego ustalenie nie było takie oczywiste, ponieważ opinie na temat źródeł rzeki Czarnej Hańczy są podzielone. Jedni twierdzą, że bierze swój początek we wsi Okliny, skąd wody z rowów melioracyjnych łączą się w jeden ciek, drudzy uważają, że jest to strumień wypływający z jeziora Jegliniszki we wsi o tej samej nazwie. Po analizie dostępnej literatury, map i rekonesansie w terenie, za miejsce, gdzie Czarna Hańcza z całą pewnością jest Czarną Hańczą, uznaliśmy punkt oddalony od jeziora Hańcza w linii prostej o ponad 3 km, gdzie łączą się wspomniane dwa dopływy.



Fot. Jakub Skrodzki

Dziesiątego maja, kilka minut po piątej rano, przybyliśmy z kajakiem i ekwipunkiem na miejsce wytyczonego startu. Ku naszemu zdziwieniu poziom wody miesiąc po naszej wizycie opadł o około 20 cm. Początek podróży miał niewiele wspólnego z tradycyjnym spływem kajakowym. Odpychanie się wiosłami od brzegów i mulistego

dna płytkiego rowu melioracyjnego musiało wyglądać komicznie i przywodziło do głowy myśl, że porwali się z motyką na słońce. Z czasem rzeka stawała się coraz szersza i głębsza. Napotykanne liczne żeremia, tamy i zwalone drzewa nie pozwalały zapomnieć, kto jest tu prawdziwym gospodarzem.



Fot. Jakub Skrodzki

Wychodzenie z obciążonego bagażami kajaka, przenoszenie go przez przeszkody i brodzenie po kamienistych płycznach, często w gęstych zaroślach, stało się rutyną. Naszym światłem w tunelu podczas tych zmagień było dotarcie do jeziora Hańcza. Ten odcinek rzeki w znikomym stopniu przypomina Czarną Hańczę, którą znamy. Koryto uformowane przez człowieka w wzór rowu melioracyjnego tylko momentami przybiera naturalną formę, jednak nie rzeki, a leniwie płynącego strumyka. Widok tafli jeziora ucieczył nas niemal tak, jak samo ukończenie spływu. W dobrych humorach, po zjedzeniu śniadania, ruszyliśmy w przeprawę przez

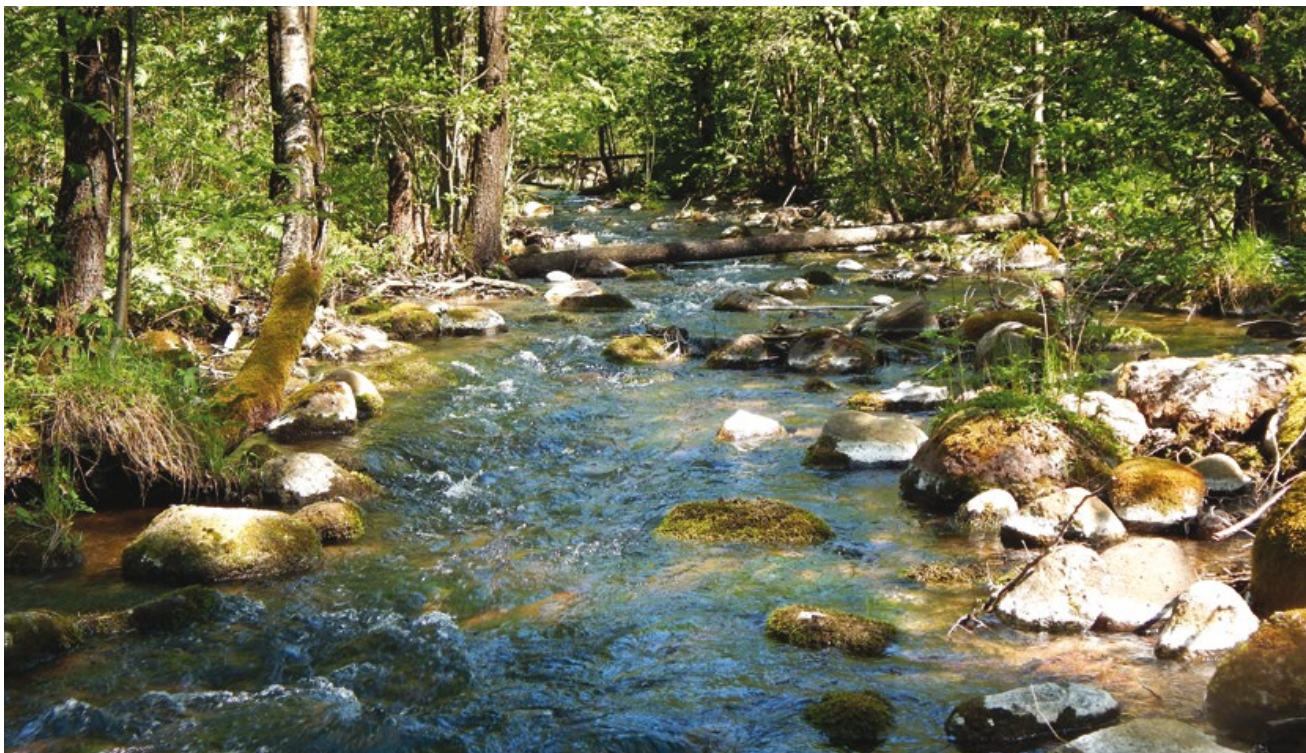
Hańczę. Po godzinie przyjemnego wiosłowania po spokojnych wodach jeziora dotarliśmy do jego południowego krańca, gdzie Czarna Hańcza kontynuowała swój bieg, przypominając dziką górską rzekę. Wielu ludzi mówiło nam, że odcinka od tego miejsca do rozlewisk w Turtulu nie da się przepłynąć kajakiem. I niestety mieli rację. Przez kilka kilometrów na zmianę ciągnęliśmy ciężki kajak korytem szybko płynącej rzeki, pełnym okazałych rozmiarów kamieni.



Fot. Jakub Skrodzki

Szczęśliwie obyło się bez kontuzji. Jakby tego było mało, co jakiś czas napotykaliliśmy pastuchy pod napięciem, nielegalnie przeciągnięte przez rolników nad rzeką, z którymi nasz mały sekator sobie nie poradził. To wszystko

miało swoje dobre strony – mieliśmy okazję dłuższy czas podziwiać piękno tego iście górskiego potoku. Będąc dopiero już niedaleko Stawu Turtulskiego, zorientowaliśmy się, że brakuje nam wiosel. Od przepłynięcia jeziora do tej pory nie były nam do niczego potrzebne. Jeden z nas został przy kajaku, a drugi zawrócił, idąc już brzegiem rzeki, szukać zguby. Wiosła wylegiwały się skąpane majowym słońcem aż na brzegu jeziora Hańcza. Zanim wpłynęliśmy na otwarte wody zalewu w Turtulu, musieliśmy pokonać prawdziwy labirynt utworzony z gęstej niskiej roślinności i wąskich strumyków rozchodzących się we wszystkich kierunkach. Miejsce to upodobały sobie żurawie, które założyły tam gniazda. Nie zawsze wybieraliśmy dobrą drogę, ale kajak sprawował się nadzwyczaj zwinnie i sprawnie przedostaliśmy się na otwarty akwen. Na przerwę zacumowaliśmy przy siedzibie Suwalskiego Parku Krajobrazowego, którego pracownicy serdecznie nas przywitali. Okazało się, że wiadomość o naszej podróży dotarła szybciej od nas. Po spotkaniu, które minęło w miłej atmosferze, i krótkiej sesji zdjęciowej, ruszyliśmy w dalszą drogę. Sądziliśmy, że od tego miejsca zacznie się znacznie przyjemniejszy etap, lecz upalna wiosna obniżyła poziom wody w rzece do tego stopnia, że odkryte liczne mielizny uniemożliwiły nam płynięcie we dwójkę w kajaku na odcinku od Rutki do Czarnakowizny i jeden z nas musiał brodzić pomiędzy kamieniami, co kolejny raz znacznie nas spowolniło. Zaczynało się ściemniać, a od 150-letniego drewnianego młyna w Krzywólce, przy którym planowaliśmy nocleg, dzieliło nas jeszcze wiele hektolitrów wody. Zadzwoniliśmy więc do gospodyni, uprzedzić, że nie zdążymy dopłynąć o umówionej porze, opracowując przed tym kilka alternatywnych planów na nocleg. Okazało się, że wspaniałomyślna Pani Teresa zostawiła nam klucze do swego domu znajdującego się przy młynie i udostępniła nam go na noc. Nasze niskie morale błyskawicznie poszybowało w górę. Rzeka wiła się jak serpentyna, przez co mieliśmy wrażenie, że stoimy w miejscu. Po zmierz-



Fot. Jakub Skrodzki

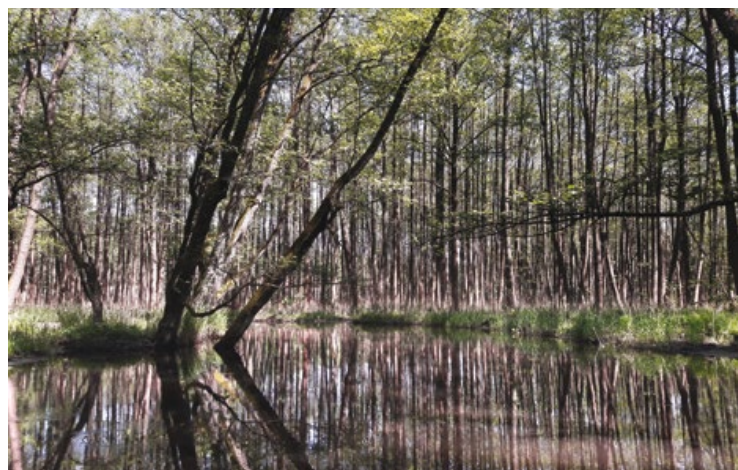


chu uaktywniły się bobry, które uderzały ogonami w taflę wody niemal w każdym zakolu rzeki. Takich uderzeń, w czasie dwóch godzin, naliczyliśmy około trzydziestu. Na płynięcie po zmroku przygotowaliśmy dwie latarki czołowe, z czego jednej zapomnieliśmy ze sobą zabrać, a druga świeciła tak słabo, że była nieprzydatna. Mimo że dzień był ciepły, to temperatura nocą mocno się obniżyła. Niemal po omacku, z widocznością sięgającą zaledwie kilku metrów, wiosłowaliśmy, myśląc wyłącznie o dopłynięciu do podsuwalskiej Krzywólki. Dzięki cotygodniowemu morsowaniu w sezonie zimowym byliśmy dobrze przygotowani do walki w zimnej wodzie z licznymi powalonymi drzewami. Wycieńczeni i przeszczęśliwi, po długim, wymagającym dniu, przepłynąwszy 41 km, dotarliśmy na miejsce w kajaku pełnym wody dopiero o 23:30.



Fot. Jacek Skrodzki

Następnego rana wypłynęliśmy w kierunku Suwałk. Przeprawy przez mosty zrobione z betonowych słupów, po wczorajszym dniu nie stanowiły żadnego wyzwania. Płynąc szerokim, lecz korytem rzeki, omijając mielizny, zbliżaliśmy się do miejskich zabudowań. Obserwowanie dobrze znanego, rodzinnego miasta z nieznaną dotąd perspektywy kajakarza było czymś niezwykle. Wszystko wokół nabierało innego wyglądu. Na wysokości ul. Sikorskiego dołączył do nas kolega Radek, który pokonał odcinek rzeki do mostu na początku ul. Noniewicz, płynąc wpław w stroju do nurkowania. Na tym samym moście czekała na nas ekipa Radia 5, której udzieliliśmy wywiadu. Pozytywnie zaskoczyła nas czystość wody jak i brak zaśmiecenia na miejskim odcinku Czarnej Hańczy. Odtąd również mogliśmy zapomnieć o osiadaniu kajaka na mieliznach. Zaraz za miastem mieliśmy wrażenie, że znów znajdujemy się z dala od cywilizacji otoczeni jedynie przez naturę. Rzeka w tamtym miejscu nabrała wartkiego nurtu, niejednokrotnie wystawiając na próbę nasze wiosłarskie umiejętności. W Sobolewie dotarliśmy do fragmentu Czarnej Hańczy objętego ścisłą ochroną, do którego legalny wstęp zawdzięczamy uprzejmości Pana Jarosława Borejszo, dyrektora Wigierskiego Parku Narodowego, który również jest pasjonatem kajakarstwa. Rzeka na tym terenie krętym nurtem przepływa przez rozległe torfowisko otoczone lasem. Wydawało nam się, że jesteśmy pierwszymi ludźmi, którzy się tam pojawili.



Dotarcie do Zatoki Hańczańskiej oznaczało, że udało nam się pokonać kajakiem tę część Czarnej Hańczy, która jest teoretycznie niespławna. Odtąd zaczęliśmy zdecydowanie łatwiejszy etap naszego spływu. Przepłynęliśmy niespokojne jezioro Wigry i kontynuowaliśmy spływ rzeką. W Maćkowej Rudzie zawitaliśmy do Pana Waldemara Motulewskiego, właściciela firmy „Hobbit”, zajmującej się organizacją spływów kajakowych, który użyczył nam solidnego kajaka, doskonale radzącego sobie z wyzwaniami, jakie przed nim stawialiśmy. Dzień zakończyliśmy w Budzie Ruskiej, gdzie zatrzymaliśmy się, by spędzić noc. Ponownie przepłynęliśmy 41 km, jednak tym razem nie w tak dramatycznych okolicznościach i w zdecydowanie krótszym czasie.

Trzeciego dnia nie było mowy o jakimkolwiek forsowaniu przeszkód w postaci powalonych drzew, tam bobrów, słupów energetycznych czy płycizn. Mogliśmy spokojnie napawać się pięknem Czarnej Hańczy. Płynęliśmy znaną trasą, a kolejne kilometry mijały nam niepostrzeżenie. Po pewnym czasie zaczęły wyprzedzać nas smukłe, profesjonalne kajaki. Odbychał się akurat ogólnopolski Wigierski Maraton Kajakowy „W krainie Wigier” z cyklu Canoa Cup 2018. Okazję do wymiany kilku zdań z uczestnikami oraz sympatyczną ekipą ratunkową mieliśmy na plaży w Rygolu, gdzie znajdowała się meta wyścigu. Nieopodal tego miejsca Czarna Hańcza łączy się z Kanałem Augustowskim. Po drodze przenosiliśmy kajak przez śluzy Tartak i Kudrynki. Obie śluzy są w bardzo dobrym stanie i są warte zobaczenia. Płynąc naturalną granicą między Polską a Białorusią, oglądając białoruskie słupki graniczne i kamery, dotarliśmy do końca polskiej części Czarnej Hańczy we wsi Rudawka. Nocowaliśmy w miejscu w widoku na śluzę graniczną. Tym razem pokonaliśmy 55 km.

Ostatni dzień wyprawy, niezmiennie od czterech dni piękny i słoneczny, zaczęliśmy od przekroczenia przejścia granicznego z Białorusią, Rudawka-Lesnaja, gdzie znajduje się śluza Kurzyniec. Można je pokonać pieszo, rowem lub kajakiem. Zjawiliśmy się na miejscu jeszcze przed przybyciem obsługi śluzy, więc pozwolono nam przenieść kajak na drugą stronę. Sama odprawa przebiegła w wesołej atmosferze, zarówno po stronie polskiej, jak i białoruskiej. Warto wspomnieć, że granicę przekroczyliśmy, nie mając wiz w paszportach. Dzięki ruchowi bezwizowemu wystarczyło zgłosić się do biura podróży, wydrukować zezwolenie i mieć ze sobą paszport oraz ubezpieczenie. Po nieco krętym początku pierwotnego nurtu rzeki do-

tarliśmy do śluzy w Dąbrówce, w okolicy której znajduje się gospodarstwo, gdzie na ścianie jednego z budynków widnieje piękny ogromny biały orzeł w koronie na czerwonym tle. Gospodarzem jest potomek przedwojennych polskich mieszkańców tych ziem. Kawałek za śluzą wpłynęliśmy na kilkukilometrowy prosty odcinek kanału wyglądający jak wodna autostrada. Słowa pochwały należą się białoruskim władzom, które odrestaurowały białoruski odcinek Kanału Augustowskiego, w tym otaczającą go infrastrukturę i uczyniły z niej przyciągającą turystów atrakcję. Ostatnią i zarazem największą na Kanale Augustowskim była śluza Niemnowo - piękny czterokomorowy gigant o długości przekraczającej czterdzieści metrów. Czterdzieści wyjątkowo długich metrów, które pokonywaliśmy, niosąc kajak.



Fot. Jakub Skrodzki



Fot. Jakub Skrodzki



Fot. Jakub Skrodzki



Fot. Jakub Skrodzki

Po przepłynięciu kilku kilometrów ujrzelśmy mącą na horyzoncie metę naszej przygody. Gdy już dotarliśmy do ujścia Czarnej Hańczy do Niemna, w wsi Dmisiewiczze na Białorusi, w euforii, niezwykle usatysfakcjonowani i szczęśliwi uczciliśmy nasze zwycięstwo butelką białoruskiego szampana. Oto staliśmy się pierwszymi kajakarzami, którzy pokonali Czarną Hańczę od źródeł do ujścia. Łącznie w ciągu czterech dni przewiosłowaliśmy 158 km w czasie 30 godzin.

Po pamiątkowej sesji zdjęciowej ruszyliśmy w drogę powrotną na pace starego samochodu dostawczego, spowici tumanami kurzu, kończąc triumfalnego szampana i podskakując wysoko na wybojach szutrowej drogi. W organizacji przetransportowania nas razem z ekwipunkiem z okolic Niemna do wsi Lesnaja, skąd mieliśmy rzut beretem do granicy, pomogli nam Sasza i Andriej. Stamtąd dopłynęliśmy z powrotem do przejścia granicznego, by pierwszy raz podczas wyprawy skorzystać ze śluzowania. Po polskiej stronie z niecierpliwością czekał, by zabrać nas do domu, kolega Tomek.

Można znaleźć nas na Facebooku, wpisując: „Czarna Hańcza od źródła do ujścia”. Znajdziecie tam jeszcze inne relacje i film z wyprawy.



„IDĘ PRZED SIEBIE”

- WYWIAD Z ZOFIĄ ANDRUSZKIEWICZ

ELŻBIETA PERKOWSKA

Pani Zofia, z domu Hołubowicz, pochodzi z Czerwonego Krzyża. Mieszka z synem i synową w Mikołajewie, skąd pochodził jej mąż Władysław. Urodziła 8 dzieci. Ma 13 wnuków i 18 prawnuków. Szafa na wysoki połysk w jej pokoju skrywa wyroby włóczkowe robione na drutach i na szydełku: swetry, szaliki, skarpety, serwetki, poszewki na poduszki, przykrycia na krzesła. Poszewki na poduszki są różne. Modele „trójwymiarowe” są wielobarwne. Składają się z wierzchu i spodu. Wierzch jest wyrabiany w taki sposób, że przypomina origami: płatki kwiatów, skrzydła ptaków bądź motyli. Jest to dzianina wielowarstwowa robiona na szydełku „jednym rzutem”. Inne „płaskie” poszewki są utrzymane w jednej barwnej tonacji. Zachwycają pięknymi wzorami i starannością wykonania. Pani Zofia ma zdecydowanie wspaniałą wyobraźnię przestrzenną, dzięki czemu jej wyroby są tak piękne.

Pani Zofio, proszę opowiedzieć o swoim dzieciństwie.

Moje pokrewieństwo to dwie siostry i dwóch braci. Ja pochodzę z Czerwonego Krzyża, a moja mama - Melania z Danowskich. Tata - Bolesław był z Mikołajewa. Gdzie Danowskie, a gdzie Mikołajewo? Mieszkaliśmy w rozstajkach pomiędzy drogą na Kruszyn, Tobołów, Lipowę - Macharce. Teraz tam jest las duży. W Czerwonym Krzyżu była tylko czteroklasówka. Jak kto mógł, to szedł do szkoły do Monkiń. Ja tylko 4 klasy skończyła. I do roboty, do lasu. Szkółki sieli, sadzonki sadzili, szyszki zbierała, po sosnach chodziła. Wszystkie roboty robili. A przeważnie na jagody. Te jagody najbardziej się zapamiętali. Ale też i poziomki, maliny, żurawiny, i grzyby.

Ile miała Pani lat, gdy wybuchła II wojna światowa?

Gdy wybuchła II wojna światowa, miałam 12 lat. W 1944 roku byłam w Niemczech. Nas wprzód zabrali. Był nakaz, żeby brać młodych do Niemiec do pracy. Byli wyznaczani, ja tam druga z wioski. Jak wieś Czerwony Krzyż spalili, to ja to już byłam w Niemczech na robocie. Już ja była zabrana. To był maj, jak nas zabierali. Jak przyszli, to my zaczęliśmy płakać, że my jeszcze rodzin nie mamy. Były jeszcze tam koleżanki. Zawieźli nas do Folwarku (Stary Folwark). Przyszedł samochód. Załadowali nas na samochód i powieźli. 3 dni nas wieźli. Ja byłam 9 miesięcy w Niemczech (w Biskupcu). Ciężką miałam pracę, w cegielni. Razem z nami byli niewolnicy ukraińskie. I my byli tako samo traktowani jak oni. Pod karabinem zawsze wszędzie szli. Do baraku i z baraku, i w robocie.

Jak wracaliśmy, wzięli chłopcy konie i my sobie jechali. Pamiętam, jak jechali, to mało co na minę nie wjechali, bo tam wszędzie miny były. Koło tylko tylko minę minęło. Po drodze widzieliśmy to szmaty, to ciało. Wszystko to poszarpane. Wie, jak to front szedł, a potem my jechali.

Z Czerwonego Krzyża najpierw zabrali młodych. A potem wzięli wszystkich ludzi z wioski do jednego domu i spalili wioskę. Nie został ani jeden dom.

Wróciłam w lutym. Przyszła, to jeszcze nie było nikogo. A potem to już tata przyszedł. Mama później przyszła. Siostra przyszła. Tata był w Brzezince (Buchenwald wg straty. pl) w obozie. Mama była w Oświęcimiu, na kuchni pracowała. Po wojnie, że była słabsza, trafiła do szpitala w Szwecji. Jak już tam doszła do siebie, tu wróciła. Przywiozła oku-

lary. Mam je do dziś.

Po wojnie w Mikołajewie były puste porosyjskie domy. Jeszcze przed wojną powyjeżdżali oni do Rosji. Zajęliśmy z rodzicami jeden dom koło jeziora. Mama tam została. Jak my się poženili z ojcem, to przyszli tu do domu porosyjskiego. Tego domu już nie ma. Ten, w którym mieszkam, sami budowaliśmy.

Jak Pani poznała męża?

On z tej samej wioski. Moja siostra była w Zakątach. Jak ja chodziła do niej i szła przez las, to on zawsze z matką w oknie siedzieli. Ja mało zważała, ale widziała, że oni mnie obserwują przez okno. Tam gdzie mieszkaliśmy z rodzicami koło jeziora, to on zawsze przechodził.

My, ja, mój brat i on (przyszły mąż) i dziewczyny ze wsi, dużo nas było, zbieraliśmy w lesie jagody i nosili do Suwałk na sprzedaż. I tak wyszło, że się zapoznali. Nie było autobusu, szli piechotką (ok. 18 km z Mikołajewa do Suwałk). Zajdziem do Folwarku, tam taka jabłonka duża stała. Nabieramy jabłek. Takie były smaczne. Odpocznem i idziem dalej przez las. Za lasem był domek, w którym, jak mówili, garncarz mieszkał. Tam odpocznem trochę. I wtenczas idziemy do Suwałk. Sprzedamy trochę, to tamto kupim i idziemy z powrotem.

Tam w Suwałkach za koleją taki dom jest i taka szopa stara. My tam zajdziem i tam od nas kobiety brały jagody i sprzedawały dla wojska niemieckiego, które było obok w koszarach.

I co było dalej z tym chłopcem, czyli Pani przyszłym mężem?

Tam taka drabina stała, to ja usiądę na tą drabinę. Siedzę i obserwuję. Mnie obserwuje mój przyszły mąż.

Potem ukradkiem się spotykali. Tą drabinę to mi nieraz przypominał, że siedziała taka zła, napurzona (śmiech).

Jak się wtedy ubierało?

W spodniach to nie chodzili. W spódnicy, w sukience. Jeszcze wcześniej w Czerwonym Krzyżu jak mieszkali, to my dziewczynki, jak szli do kościoła, to buty musieli nieść w rękach. Jak dochodzili do kościoła, to wtenczas się obuwali. Z domu jak wychodzili, to na bosaka. Ale my jak pojeździem kawałek, koleżanki się zbiorą, to my buty pokładziem i idziem sobie już w butach. Po kościele podchodzimy w butach pod dom i każda jedna się rozbuwa i bez butów do domu.



Pani Zofia z córką Jadwigą i wnuczką Sylwią.

Wielobarwne wyroby na szydełku
- poszewki na poduszki, serwetki, szaliki.

Trudne to były czasy?

Pani Kochana, było życie. Tyle przeszło, ale że nie było łatwe i nie było lekkie. Było ciężkie życie. Bo człowiek musiał przejść. Życie to nie takie, że usłane różami i wszystko gotowo. A i droga ciernista, i kolki. I przez to wszystko trzeba przejść. A najgorsze to w głowie zostało, to ten karabin, że obok mógłbyś leżeć.

Jakie były początki Pani małżeństwa? To były różne czy ciernie?

Moje małżeństwo to nie było straszne, takie żeby skalki jeden drugiemu do oczu. Jak się ożeniliśmy, to może przez rok mieszkaliśmy w domu u mamy. Potem mieszkaliśmy osobno, w mieszkanku porosyjskim. Było ono tu, gdzie jest teraz mój dom. On (mąż) chodził do lasu do roboty, ja z dziećmi. Jak przyszedł czas na jagody, na maliny, to ja dzieci przy kim zostawiła i poleciała, nzbierała. Takie było życie. Oby tylko. I człowiek żył z lasu. Dzieci rodziły się co dwa lata. Jak już były większe, to jedne drugich pilnowali. Jak poszli do szkoły, to w wakacje były w lesie. Zbierały owoce, aby zarobić to na książki, to na fartuszki. To nie teraz, że dzieci wyjeżdżają na wakacje. Moje dzieci wakacje miały w lesie.

Świniaki byli, kury były, krowa była. Mieliśmy tylko 2 hektary pola. Tabakę sadziliśmy. Jednego razu takim radelkiem radliłam za księżycem. Obradliłam tę tabakę przez całą noc. Rano przyleciałam. Zrobiłam dzieciom śniadanie i wszystkie do lasu na jagody poszli. I z tego lasu żyli. Do lasu trzeba było iść.

Kiedy zaczęła robić Pani na drutach i na szydełku?

Jak jeszcze chodziła do szkoły. Mnie mama uczyła piętę do skarpety robić. Kobiety to woreczek udzieją, nogę wsadzą, a ja to umiem piętę zrobić na dwóch prątkach. Już w szkole czapki działa. Nitka była z lnu, konopi, z wełny królików angora, które hodowaliśmy.

A teraz to jak coś zobaczę, to sama próbuję. Poduszkę zobaczyła w sklepie. Popatrzyła i sama udziała.

Teraz to więcej na szydełku. Jedną poduszkę tydzień robię, ale i nocy nie śpię. Na jedną poduszkę trzeba jeden motek. Nitkę w sklepie w Suwałkach kupuję. Dzwonię i zamawiam. Do Suwałk jadę sama autobusem albo z kimś się zabiorę. Czasami mi wnuki przez Internet nitki zamówią z dostawą do domu. Zamówienia na poduszki mam od rodziny i od sąsiadów. Te do Holandii robię.

Jak usiądę i robię szydełkiem, to tak liczę oczka i o niczym nie myślę. Zapominam o bólu, o chorobach.

Pani Zofio, u Pani chorób nie widać i wygląda Pani tak dobrze.

Może i setkę minę (śmiech). Ja zawsze mówiłam tak: Matuchno, dopomóż mi, żeby ja podżyła tyle lat, ile moja mama żyła. A moja mama żyła 87. A jak doszła już tego wieku, no to może być i dłużej. Ja zawsze uciekam się do tej swojej Matki Najświętszej: Matuchno, dopomóż mnie. Jak idę do lasku, to na paluchach mówię różaniec.

O czym Pani marzy?

O tym, żeby dzieci wnukom szczęśliwie się urodziły. Jeszcze, żeby ja podżyła i je zobaczyła.

Co Pani daje siłę i radość?

Bozia. Uciekam się do Matki Najświętszej i proszę o zdrowie. I idę przed siebie. Się nie oglądam. Jak padnę, to się podniosę. Ile ja miała wypadków. I osy pogryzły, upadła przez przyczepkę, z drabiny spadła, na cmentarzu upadła i się pobiła.

Z tą przyczepką... to szłam wieczorem do sąsiadów. Tam, gdzie jest krzak bzu, syn przyczepkę postawił. A ja wyleciała z domu i na skróty, światła przy ganku nie zapaliła, idę i buch na tą przyczepkę. Całą brodę zbiłam. Do Suwałk następnego dnia jechałam. Syn i synowa nie chcieli mnie puścić. Ja się opatuliłam szalikiem i pojechałam. Jak mnie córka w Suwałkach zobaczyła, a to już zrobiło się fioletowe, żółte, to do razu do lekarza mnie zabrała. Doktor powiedział, że takiego zbiecia nie widział.

Jak się teraz Pani żyje?

Ja już przywykła do tego, że sama. To już 17. rok (mąż Pani Zofii - Władysław - zmarł w 2001 roku). Jaki będzie ten koniec życia, to nikt nie wie. Czy człowiek będzie zdołał, czy nie. Ja powiedziała, że jak już naprawdę przyjdzie ostatnia ta chwila, to niczego nie będę żałować. Tylko tego lasku za płotem szkoda mi zostawiać. To jest całe życie, całe uzdrowisko, całe sanatorium. To jest mój las. Jak przez całe lato człowiek nałyka się tego tlenu i napatrzy, i ta sosna, i brzoza, i świerk, i ten dąb. Jak ja tylko wyjdę na swoją dróżkę do lasu, to cały mój świat.

Takie życie. Było ciężko. Teraz fajno, dobrze. Tylko krótkie, już teraz ku końcowi. Żeby z początku tak jak teraz było.

Dziękuję za rozmowę i życzę dużo zdrowia.

Dziękuję.



ŚWIAT PAJĘCZAKÓW – CZ. IV. PAJĄKI – FATALNE ZAURÓCZENIE

ANNA KRZYSZTOFIAK

Fotografie: Lech Krzysztofiak



Porównanie nogogłaszczek u samicy i samca krzyżaka łąkowego *Araneus quadratus*.



Fotografie: Lech Krzysztofiak



Samica i samiec kwietnika *Misumena vatia*.



Zdecydowana większość pająków jest rozdzielnościowa, do bardzo rzadkich wyjątków należą gatunki partenogenetyczne, rozmnażające się bez udziału samców, jak np. u niedawno stwierdzonego w szklarniach *Triaeris stenaspis*. Powszechnym zjawiskiem wśród pająków jest silnie zaznaczony dymorfizm płciowy. Samice są z reguły znacznie większe od samców, czasem nawet kilkadziesiąt razy, za to samce często są bardziej kolorowe, posiadają różne wyrostki na głowotułowiu czy odwłoku. Rzadziej wśród pająków spotykana jest sytuacja odwrotna, gdy to samce są większe od samic, tak jest np. u pająka topika *Argyroneta aquatica* czy pyrgunów (rodzaj *Evarcha*). Najwyraźniej widoczną cechą pozwalającą odróżnić płęć u dojrzałych pająków jest budowa nogogłaszczków. U samców ich ostatnie segmenty są silnie bulwiasto zgrubiałe, często przybierają kształt przypominający rękawice bokserskie, podczas gdy u samic nogogłaszczki są normalnie wykształcone i wyglądają jak nieco krótsze i delikatniejsze odnóża. Spośród naszych gatunków zjawisko dymorfizmu jest dobrze widoczne u krzyżaków (*Araneidae*), skakunów (*Salticidae*), omatnikowatych (*Theridiidae*) i ukośnikowatych (*Thomisidae*). U kwietnika *Misumena vatia* samiec jest nie tylko mniejszy, ale i inaczej ubarwiony niż samica, tak, że niewtajemniczeni obserwatorzy przyrody biorą go za

przedstawiciela innego gatunku. U pająków, tak jak u wielu ptaków, to samce są najczęściej „płcią piękną”, czasem bardzo jaskrawo ubarwioną (Fot. *Philaeus chrysops*). Samice wykazują bardziej racjonalne podejście do tej kwestii, wolą pozostawać niezauważone, aby nie narażać się niepotrzebnie na potencjalny atak drapieżnika, czasem też posiadają ubarwienie ochronne. Bycie małym samcem, wbrew pozorom, niesie sporo korzyści: takim maluchom łatwiej jest się schować przed niebezpieczną samicą i czatować w rogu sieci, podkradając jej jedzenie w oczekiwaniu na okazję do kopulacji, łatwiej szybować na niciach babiego lata na nowe tereny oraz przetrwać niekorzystne warunki (np. suszę lub powódź). Układy między partnernami u pająków przyjmują bardzo zróżnicowane formy, od krótkiego zbliżenia, czasem kończącego się śmiercią samca w szczękoczułkach samicy, do dłuższych związków, podczas których samce pilnują swoich zaplemnionych wybranek przed innymi konkurentami, by mieć pewność ojcostwa przyszłego potomstwa. U niektórych gatunków samce produkują coś w rodzaju „pasów cnoty”, którymi korkują wejście do otworów kopulacyjnych samic, by zapobiec „zdradzie”. Rzadziej spotykanym sposobem na zapewnienie sobie wierności jest pozostawianie w kanałach kopulacyjnych samicy odłamanych elementów głaszczka



Samica i samiec pyrguna nazielnego *Evarcha arcuata*.

(np. u prządek *Nephila* czy niektórych *Theridiidae*), co skutecznie uniemożliwia następne zbliżenia. Dlaczego samce zadają sobie tyle trudu? Dlatego, że większość samic pajaków kopuluje tylko raz w swoim życiu i jeśli samce chcą przekazać dalej swoje geny, muszą stosować takie wymyślne sztuczki.

Budzącym największe emocje rytuałem związanym z zalotami u pajaków jest kanibalizm seksualny, objawiający się pożarciem samca po akcie zapłodnienia. Nie jest to jednak tak częste zjawisko jak się powszechnie uważa. U bardzo wielu gatunków kanibalizm seksualny w zasadzie nie występuje albo spotykany jest wtedy, gdy samica jest niedożywiona i traktuje samca jako dodatkową porcję kalorii, która pozwoli złożyć więcej jaj i tym samym przedłużyć gatunek. Często też zjawiska kanibalistyczne obserwuje się w hodowlach, gdzie samce nie mają możliwości, aby bezpiecznie się oddalić od partnerki z uwagi na ograniczoną przestrzeń. W innych wypadkach samce, aby zminimalizować ryzyko zjedzenia, stosują rozmaite fortele, mające ostudzić zapędy samicy. Jeden z takich zabiegów obserwujemy u darownika przedziwnego (*Pisaura mirabilis*), gdzie samiec rozpoczyna zaloty od wręczenia samicy opakowanej w przędzę upolowanej wcześniej ofiary. Samica zajęta rozpakowywaniem, a potem pożeraniem prezentu ślubnego, nie zwraca większej uwagi na samca, który może spokojnie i bezpiecznie dokonać aktu kopulacji. Taki prezent miłosny, niczym pierścienek zaręczynowy, pozwala także samicy ocenić kondycję potencjalnego partnera – gdy wręczona zdobycz jest niewielka i kiepskiej jakości, samica prezent zatrzymuje, ale przegania zalotnika i szuka sobie silniejszego samca, zdolnego wkupić się w jej względy cenniejszym prezentem. Zdarzają się też przypadki, że gdy samica zbyt wolno zabiera się do konsumowania prezentu, a samiec, który się szybciej uwinął, zabiera niedokończony posiłek i rusza w poszukiwaniu następnej samicy, by powtórzyć cały rytuał.

Samice niektórych gatunków pajaków wybierają partnerów dopiero po długich, skomplikowanych zalotach, które są bardzo zróżnicowane. Np. u skakunów (*Salticidae*) czy pogońcowatych (*Lycosidae*) polegają na skomplikowanych tańcach godowych, krzyżakowate (*Araneidae*) wprawiają w specyficzną wibrację pajęczynę, na której oczekuje samica, wygrywając na niej „miłosną serenadę”. Wiele gatunków wydaje także w trakcie zalotów specjalne dźwięki przy pomocy tzw. narządów strydulacyjnych. Samce pajaków krabokształtnych, należących do rodzaju bokochód



Fotografie: Lech Krzysztofak

Xysticus, przed przystąpieniem do kopulacji, najpierw „hipnotyzują” samicę w odpowiedni sposób ją głaszcząc i dotykając, a następnie dla większego bezpieczeństwa unieruchamiają, oplatając przędzą. Jeśli to nie wystarczy, zawsze jeszcze można użyć broni chemicznej w postaci feromonów, które niczym drogie perfumy wprawiają wybranek w odpowiedni nastrój.

Kopulacja przebiega u pajaków w specyficzny sposób, co jest związane z obecnością u nich wtórnych narządów kopulacyjnych na nogogłaszczkach. Samce, zanim ruszą na poszukiwanie samicy, składają na gęsto utkanej niewielkiej sieci porcję swojego nasienia, a następnie zasysają je, niczym strzykawką, do zbiorniczka znajdującego się w szczytowej części nogogłaszczek. Dopiero z tak napełnionymi głaszczkami przystępują do zalotów, aby potem podczas kopulacji umieścić spermę w zbiorniczkach nasiennych samicy. Sam głaszczek zaopatrzony jest w różnego rodzaju wyrostki, które niczym układ zamek-kłucz pozwala odpowiednio wpasować się w płytkę płciową czy nawet otworzyć wejście do układu rozrodczego samicy. Kopulacja nie prowadzi bezpośrednio do zapłodnienia - nasienie samca jest przechowywane przez samicę w zbiorniczkach nasiennych i sukcesywnie zużywane do zapłodnienia kolejnych porcji jaj. Jaja pajaków składane są zawsze w pakietach oplecionych przędzą, tzw. kokonach.

O rozwoju osobniczym i zjawisku opieki nad potomstwem u pajaków opowiem w następnym numerze kwartalnika „Wigry”.

Dziękuję dr. Robertowi Rozwałce za pomoc merytoryczną przy pracy nad tekstem i przy oznaczaniu materiału.



Zaloty pyrgunów nazielnych.

Fotografie: Lech Krzysztofak

Galeria



Czarna Hańcza w Czerwonym Folwarku - lata 50. XX wieku...



...i dziś.

Fot. Maciej Kamiński